010484
и(нов) К 84
010484

Поверніть книгу не пізніше зазначеного терміну

POEZIJE

Juliana Korsaka.

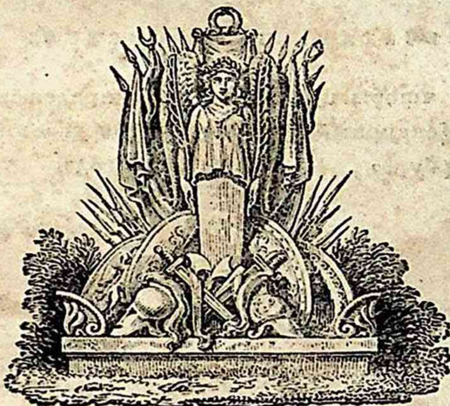

ST. PETERSBURG.

NAKŁADEM AUTORA,

Drukiem Karola Kraya.

1830.

Дніп... ...вська
Об...сна бібліот...

Печатать позволяется:

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи, представлены были въ Цензурный Комитетъ три экземпляра.
С. Петербургъ, 12 Марта 1850 года.

Цензоръ К. Сербиновичъ.

A. Edwardowi Odyńcowi

na pamiątkę kilku lat młodości szczęśliwie spędzonych

POŚWIĘCA

PRZYJACIEL.

SPIS RZECZY.

LIRYKI.

Karta.

Czas i Genijusz 4
Muzyka 11
Pielgrzymka Myśli 25
Różnica Płci 27
Do Wieczności 32
Upadek Heby, Dytyramb (z Moora) 36
Noty 43

ELEGIJE.

I. 47
II. *Tout change tout passe* 49
III. Do Niemna 50
IV. 53
V. Pożegnanie do A. H. 54
VI. 55
VII. W dzień moich urodzin 57
VIII. 59
IX. 60
X. 61
XI. 62
XII. Do A * * 63
XIII. « Wszędzie jest dobrze, lepiéj między świémi. » 65

Karta.

XIV. Wieczór 67
XV. 70
XVI. Noc burzliwa 71
XVII. Do K * * * 73
XVIII. 74
XIX. Entuziastka 75
XX. 78
Epilog 79

WIERSZE RÓŻNE.

Oczekiwanie, (s Szyllera) 81
Nadzieja, (s Szyllera) 84
Miłość i Rossądek (z Moora) 85
Monolog (s Fausta) 88
Bóg i Bajadera, Indyjska Legenda (z Getego) . . 90
Do grających Sybille 95
W Imionniku Pani S. B. 97
Epilog do Imionnika Ludwiki K.... . . . . —
W Imionniku Doktora M. 98
Dzień sądny 99
Niezabudka 105
Dziewczyna (Piosnka) 107
Melodija Irlandzka (z Moora) 109
Łza (z Moora) 110
Pielgrzym 111

ANAKREONTYKI.

I. 112
II. 114

Karta.

LISTY.

I. Do Adama Mickiewicza (w dzień jego imienin) 119
II. Do Edwarda Odyńca 122
III. Do Alexandra Chodźki 124
IV. Do W. W. 127
V. Do I. C. 130
VI. Do L. R. 133
VII. Do M. S. 136
VIII. Do I. D. 138
BEJRAM Powieść Turecka 141
Pieśń Kleftów 170
Noty do Bejramu 182

Z LORDA BAJRONA.

Więzień Czyllonu 187
Oskar z Alwy 202
I. «If some times in the hauts of men» 214
II. «Oh snatched away in beautys bloom» . . 216
III. «There's not a joy the world can give like that it takes away.» 217
IV. Spiew Medory (s Korsarza) 218
V. «I saw thee weep» 219

Z HORACIUSZA.

Do Mecenasa (Lib. I. car. 1.) 223
Do Sexta (Lib. I. car. 4.) 225
Do Poliona (Lib. II. car 1.) 226
Do Chloi (Lib. I. car. 23.) 228
Do Mecenasa (Lib. II car. 12.) 229

Karta.

Do Pompejusza (Lib. II. car. 7.) 230
Do Hirpina (Lib. II. car 11.) 232
Do Delliusza (Lib. II. car. 2.) 233
Do Kaliopy (Lib. III. car. 4.) 235
Do Diany i Apolina (Lib. I. car. 21.) 239
Do Xantia Focejczyka (Lib. II. car. 4.) 240
Do Apolina (Lib. I. car. 31.) 241
Owoc niedojrzały 242
Nauka moralna (Lib. III. car. 1.) 243
Do Planka (Lib. I. car. 7.) 246
Na zepsucie wieku (Lib. II. car. 15.) 247
Epilog 248
UŁAMEK S POETYKI WIDY, O Harmonii naśladowczéj (s Xięgi III. od wiersza 355) . . 247
ODA PINDARA. Do Azopicha z Orchomeny (Olymp. XIV.) 251

LIBYA I.

LIRYKI.

CZAS I GENIJUSZ.

CZAS.

Stań się, stało! — w łonie słowa
Razem ze światem poczęty,
Jestem ja Czas! niepojęty
Jak ta boskich ust wymowa.
Orla myśli! w twoje szpony
Jeszcze wolny, nieschwytany,
Ja Czas jak duch niewcielony
Badany — i niezbadany.
Najstarszy, pierwszy świadek, rówiennik Stworzenia,
Przebiegałem otchłanie światła i błękitu;
Tam postrzegłem przy blasku pierwszego promienia
Ziemię, dwoiste państwo nicestwa i bytu.
Przypominam! widziałem pierwszą twarz człowieka,
Gdy ją śmierć marmurową białością powleka;

Pękła życia sprężyna,
Pomyśliłem — to glina!

GENIJUSZ.

Kiedy zrazu człowieka Bóg ukształcał z ziemi,
Ciało zimne martwe było;
Bóg tchnął ustami swémi,
I ciało ożyło!
On, gdy światło iść miało na walkę z zaćmieniem,
Odszczepił jeden promień od swojego słońca.
Ja Genijusz na ziemi jestem tym promieniem!
W czyją duszę jam wstąpił, dusza ta świecąca
Jak słońce własném światłem przejdzie życia progi.
O czasie ja urągam dumnie skrzydłom twoim!
Wieczność gościńcem moim,
Nieskończoność celem drogi.

CZAS.

Tam! kędy nicość mieszka, na przepaści brzegu
Stanąłem — i z mych skrzydeł, chwile lata, wieki,
Otrząsam, jak ptak s pierza drobne gwiazdki śniegu.
Człowiek o genijuszu wzywa twéj opieki,
On twoją tarczą przedemną
Zasłania śmiertelność swoję,
On łamie się, walczy zemną:
Geniuszu! dzieła twoje
Leżą w gruzach zapomnienia,
A człowiek, co żądzą płonął

Nieśmiertelności, wspomnienia,
Jak cień po ziemi wionął.

GENIJUSZ.

Ja Genijusz nie żyję w czasie i w przestrzeni,
W wyższych eterach moja gwiazda się promieni.
Na kim ja godła mojéj położę pieczęci,
Taki już pić nie będzie z rzeki niepamięci.
Miecz, pióro, pędzel, dłóto w czyje oddam ręce,
Tego sławy za życia kapłanem poświęcę.

Oto wschodzi bohatér! — potrząsnął przełbicą,
I zalśnił oczy ludzi słonecznémi blaski.
Jak magicznéj rzutem laski,
Skinął miecza błyskawicą,
I w gruzy runęły trony.
Głowy koronowane podesłał pod nogi,
I zdeptał je jak szczeble — a szczęściem zdurzony
Posadził się między Bogi.
Za nim w ślad idzie wojna i pożoga,
Ludy, narody odrętwiła trwoga:
Wtém ziarno życia wschodzi na grobie żywiołow,
O ileż to żyć nowych, jak Fenix s popiołow,
Wykwitnęło ze zniszczania!
Zgrzybiałego starością świat odmłodził ducha,
A gałąź ludzkości sucha
W młody liść się rozzielenia:
Rośnie w drzewo, w majowe ubiéra się szaty,

Lecz terazniejszość w pomroce
Tam tylko postrzega kwiaty,
Skąd przyszłość zbiera owoce.

Patrz! oto kunsztmistrz z godłem poety, snycerza,
Przychodzi — berłem myśli o duszę uderza;
I z niéj trysnęły zrzódła czarodziejskiéj mocy,
W których falach ludzkość cała,
Jak w zwierciadle się przejrzała.
Twory jego jak gwiazdy, złote urny nocy,
Przechodząc nieskończoną lat i wiekow drogą,
Wciąż światło leją s siebie — i wylać nie mogą.
Wielki wieszcz, śpiewak stanął pośród ludzi,
I melodyjną lutni piersią woła;
« Przeszłości! błysnij pośród pamięci kościoła,
Oto z długich snów śmierci głos cię mój przebudzi.»
Wnet umarłe narody z mogił zmartwychwstały,
Pieczęć zniszczenia spełzła z ich trupiego czoła:
A ten wielki, wskrzeszony przeszłości świat cały,
Ogrzany wyobraźni słonecznym promieniem,
Dla twórczéj wieszcza duszy, czémże jest? — stworzeniem.

Marmur, kamień prochu bryła,
Matka ziemia go powiła.
Człowiek dobył go s powicia,
Lecz on niéma duszy, życia;
Snycerz dłótem dotknął głazu,
I weń duszę wlał do razu.

Czarodziejska sztuki dzielność!
Genijuszu arcydzieła
Wyższą, trwalszą mają dolę.
Dusza w sobie je poczęła,
I swe godło — «Nieśmiertelność»
Wypisała na ich czole.

CZAS.

Człowiek zaufał sobie, i z dumą Tytana
Po szczeblach myśli do nieba się wdziera;
Coby w prochu miał przednim uginać kolana,
On berło jego, piorun mu odbiera!
Pielgrzymkę gwiazd i planet policzył na lata,
I muzyk, pojął nótę harmonij świata.

Szalony! jeszcze rękami bliźniemi
Wyłamał podziemne bramy;
Oderwał od piersi ziemi
Ogromne skał odłamy:
Popiętrzył, dźwignął do góry,
I złocistemi dachami,
Napowietrznemi wieżami,
Otarł się aż o chmury.

Daremnie dumą pijany
Budujesz na tym padole!
Spójrz na te zamkowe ściany,
Co ledwo w gruzach nie legły;

Szczeliny świecą przez cegły,
Jak zmarszczki na starca czole.
A gdzież są ich dawne Pany?
Oni tak pośli, jak przyśli!
S tarcz spełzły herby ich znakow,
Ich czaszki, niegdyś gniazdo dowcipu i myśli,
Dzisiaj są gniazdem — robakow.
Patrz na ich puste pałace,
Gdzie pędzla i dłóta prace
Walczyły o wdzięk z naturą;
Gdzie wprzód huczała biesiadna drużyna,
Dziś wielkiém oknem wygląda ponuro
Milczący dziedzic ich murow — Ruina.

GENIJUSZ.

Co raz żyło nie zaginie,
Ludzkość jak cień nie przepada;
Człowiek na krajow ruinie
Ich przedśmiertne dzieje bada.
Odkopuje numizma, z ich tablicy czyta
Twarzy narodow niezatarte rysy.
Tam jest treść cała ich życia wyryta,
Cała rachuba ich wieku na lata.
Są to jedyne nagrobne napisy,
Które nam narod po sobie,
Kiedy już schodzi ze świata,
Zostawia na swoim grobie.

Mumija Herkulanu! patrz jak czerstwa, cała!
W łonie ziemi skamieniała,
Martwa, snem od lat tysiąca
Pod całunem twym leżąca,
Ocknęła się — zmartwychwstała!

Cała ta ziemia, jak ją zajrzysz kołem,
Jest wielkim drugim Sybilli kościołem,
Gdzie ludy swoje składają pamiątki.
Nawet dłoń twoja tknąć się ich nie waży.
Tam Historyja stanęła na straży,
Patrzy na drogie zeszłych wieków szczątki;
Słucha wyroczni natchnionéj Bogini,
I pisze na drzwiach świątyni,
Błogą, pomyślną wróżbę dla ludzkości,
« Przeszłość przyszłości! »

CZAS.

Daremnie człowiek myślą, tym językiem ducha,
S przeszłością się rozmówił — gdy w jéj pustéj sferze,
Widzi on tylko końce od zdarzeń łańcucha,
Chce je spoić, lecz średnich ogniw nie dobierze.

GENIJUSZ.

Na ziemi i nad ziemią ciągle krąży życie,
Na gruzach wielkiego miasta,

Usiada wiejska niewiasta,
I piersią karmi swe dziécie.
Tam! gdzie na tronach królow zasiadło Zniszczenie,
Wschodzi młodzieńcze słońce,
Leje nań żywe złoto — i codzień wschodzące
Zwalone stosy gruzow wieńczy w swe promienie.
Ssące pierś matki dziécie się uśmiécha,
Szczęśliwa matka kłócąc miejsca ciszę,
Pieśniami zeszłych wiekow do snu go kołysze,
I w jedném tchnieniu razem dwa życia oddycha.

Spójrzyj tylko na ziemię! — cała ta przyroda,
Jak s końcem swéj żałoby narzeczona młoda,
Zwleka, zrzuca co prędzéj s siebie czarne szaty,
Ażeby, nim wybije jéj ślubow godzina,
Już czoło swe w godowe ustroiła kwiaty.
Spójrzyj, a wyznasz! — miasta jednego ruina,
Smierć jednego człowieka wcale nie przerywa
Wielkiego życia łańcucha!
Ciągłe, bez przerwy jego wiążą się ogniwa,
Aż nim ostatniém kołem wcielą się w świat ducha.

r. 1829. *Petersburg.*

MUZYKA.

Music alone with sudden charms can bind
The wandering sense, and calm the troubled mind.

CONGREVE.

Muzyko! matko pieśni, poezijo ucha,
Ty cierń życia potrząsasz niebieskiemi kwiaty;
Ty pierwsza, ogniwami myślnego łańcucha
Powiązałaś s tą ziemią niewcielone światy.
Poezijo, miłości, muzyko! wy same,
Jak trzy Gracije piękne greckich zmyśleń dzieci,
W wieńce żelazną losu stroicie nam bramę,
W blasku odbitym od was i świat piękniéj świeci.
Was na ziemi, od wiecznéj by zachować zguby,
Same niebo związało troistemi śluby.
Nieraz kiedy zmęczone lotami długiemi,
Śród błyskawic nadziei a gromow rospaczy,
Skrzydło miłości ciężyć poczyna do ziemi:
Gdy miłość poraz pierwszy ze wstrętem zobaczy
Miejsce swoich nadziei, swych uciech pogrzebu;
Wnet Poezija skrzydła tęczowe rostoczy,
I po długiéj niepogod i nieszczęść kolei,
Obłąkane jéj loty kieruje ku niebu;

A u bram nieba anioł muzyki uroczy
Nóci podróżującym wielki hymn nadziei.

* * *

Muzyko! ty nad wszystkieś wyższa talizmany,
Tajemnicza jest siła twojego uroku;
Bo twój język i niebiany,
Świat i ludzie rozumieją.
Choć nam ziemskość głos twój głuszy,
Ty na strónach naszéj duszy,
Grasz rospaczą i nadzieją.
Ty w nas budząc naprzemiany
To żal w sercu, to łzy w oku,
W harmonijne zlewasz brzmienia,
Słodką nótę rozrzewnienia,
Słodszy od niéj głos litości,
I najsłodsze ach! miłości.

Szczęśliwy, kogo uczuć melodija wzruszy,
Lecz ten szczęśliwszy, czyjéj stróny duszy
Same tą muzyką brzmiały.

* * *

Ty jeszcze budzisz w nas czasem
Żądze wojny, żądze chwały.
Patrz na te szerokie błonia
Najeżone włóczni lasem!
Wojennego rżenie konia,

Wojennego miecza szczęki,
I wojennéj trąby dźwięki
Budzą echa po dąbrowach.
Patrz! jak wiatrem potoczone
Płyną fale szeregami,
Po dolinach, po parowach
Wyciągnięte linijami,
Płyną tłumy uzbrojone.
Śpieszą, śpieszą na plac boju,
Już zaczernił pył ich czoła;
A na czole kropla znoju
Jakby kropla rosy świéci;
Wtém głos wodza stój! zawoła,
I stanęli jakby wryci.
Cicho, głucho na około,
Słowa do się niemówili,
I w ich sercach nie wesoło:
Wzrok schylony ich do ziemi,
Smutni — rzekłbyś, że w téj chwili
Skrzydło śmierci archanioła
Przeleciało ponad niémi.
Wódz skinął ręką — i w bębny zagrali.
Wtém, jak szmer wiatrem wzburzonéj fali,
Szczęki miecza, brzęk pancerzy,
Głośniéj, daléj łoskot szerzy.
Już i serce wojownika
Coraz prędzéj, prędzéj bije,
Żądzą wojny serce bije!

A wojenny tłum wykrzyka,
Niechaj wojna, wojna żyje!
Biją w kotły, grają w trąby,
I działa zagrzmiały;
A ogniste kule, bomby,
Jak ogniste ptaki,
Przez powietrzne szlaki,
S szumem poleciały.
Poszli na boje i rzecie,
S pochew ich miecze dobyte błysnęły;
Szczerbią miecze na żelezie,
I krwi strugi wytrysnęły.
Szczęk żelaza, wrzask walczących,
O! i działa grzmot ponury,
I cichy jęk konających
W jedną harmoniję się zlewa;
W jeden hymn posępny, który
Do dzikiego wabiąc męstwa,
Swym kochankom wojna śpiewa.
Na jedną nótę, kopiąc dla ich groby,
Ona walczącym gra toast zwycięstwa,
A konającym *requiem* żałoby.

* * *

Muzyki urok nie tylko zwycięża
Walczącego w boju męża,
Nie tylko serca wojenne zapala,
I szwajcarskiego górala

W silne więzi obłąkanie:
Gdy pieśni ojczystéj dolecą go brzmienia,
Wpada w letarg zamyślenia,
I zasypia na skonanie.

* * *

Dzień w wieczornym ciemniał zmierzchu,
Pirenejskie mglą się góry;
Słońce świeci na ich wierzchu
Barwą złota i purpury.
Coraz ciemniał pomrok szary,
Przez głębokie, dzikie jary,
Szedł wędrowiec zamyślony;
Szedł bez celu i bez drogi,
Kij mu drżące wspierał nogi,
Włos miał wiekiem ubielony.
Piękny obraz natury jeszcze go zachwyca,
Lubi szwajcar w jéj piękne wpatrywać się lica;
Bo piękna wzrok mu wabi okolica,
Jak krajobraz malowany.
A przed nim stoją góry jak olbrzymy lodu,
Śniegiem okryte ich ściany;
Zwierzchu zima, a u spodu
Wiosna kwitnie, i kwiatów tysiące się świecą,
Jak u nóg starca igrające dzieci.
Piękna ziemia południa jego wzrok przynęca,
Po łąkach wabią kwietne wiosny malowidła;
Lecz on z oczyma smutnemi,

Posępniejszéj, dzikszéj ziemi,
Wszystkie swe myśli poświęca.
Na jedne Pireneje pogląda z roskoszą,
Ich mu widok szwajcarskie przypomina góry;
Gdzie mgły siwe, czarne chmury,
Jak żałobne sępow skrzydła,
W koło nich, i ponad niemi
To wiszą, to się unoszą.

Szedł wędrowiec i idąc spozierał w około.
Wtém wieczoru chłodna rosa
Z gwiazdy lecąc przez niebiosa,
Zlekka spadła mu na czoło.
Poczuł starzec tę łzę nieba,
Radby, czuje że potrzeba
Ją ze swémi zmieszać łzami.
O! kiedyś płakać te oczy umiały,
Lecz przygasłe dziś z latami,
Już je dawno wypłakały.
On płakał gdy dom żegnał idąc w kraj daleki,
Dziś oddalony od swoich na wieki,
Wędrowiec myślał, o jakże ten błogi!
Kto żyć może między swémi,
Wrócić z wygnania na rodzinne progi,
Kto może umrzeć na rodzinnéj ziemi!
Tak idąc marzył, aż wtém po błoni,
Góralskiego flet pasterza,
Wędrowca ucho uderza,

I piosnkę jemu szwajcarską zadzwoni.
Wędrowiec stanął, i uchem zdaleka
Łowił w powietrzu rozwiane jéj dźwięki;
Wnet poznał nótę ojczystéj piosenki,
Duma, i cały w myślach się zacieka.

Szwajcarska piosnka skonała,
Wędrowiec w myśli ją nócił;
Oczy na niebo zawrócił,
Twarz mu nagle pobledniała.
Rzucił kij, załamał dłonie,
Do serca przyłożył rękę;
Potém na północ, ku rodzinnéj stronie
Spójrzał, i westchnął — o! w tém westchnieniu
Dusza wędrowca, na gwiazdy promieniu
Dośpiewując tę piosenkę,
Aż do nieba ulecíała. (*)

* * *

Muzyko ty nad wszystkieś wyższa talizmany!
Bo twój język i niebjany,
Świat i ludzie rozumieją.

(*) Znajoma jest powszechnie choroba tak nazwana *heimweh* w którą wpadają Szwajcarowie oddaleni od swojego kraju, i wrażenie jakie na nich muzyka sprawia.

0/0434.

Дніпропетровська
Об...ска БІБЛІОТЕКА

Choć nam ziemskość głos twój głuszy,
Ty na stronach naszéj duszy
Grasz miłością i nadzieją.

* * *

Młodzieniec i dziewica z dzieciństwa się znali,
On pisał czułe i tkliwe piosenki;
W nich sławił urok jéj głosu, jéj wdzięki,
Nieraz je razem oboje śpiewali.
I razu jednego gdy piosnkę nócili,
Już nie śpiewaniem, lecz sobą zajęci,
Tak się oboje w myślach zatopili,
Że słowa pieśni wypadły s pamięci.
I twarz dziewicy nagły zakwiecił rumieniec,
Jak szkarłat wschodu na śnieżnym obłoku;
A przy niéj stoi milczący młodzieniec,
Tylko wzrok utkwił w jéj błękitném oku,
W którém, jak na fijołku perląca się rosa,
Zrazu mała i coraz większa łza błysnęła;
Aż przepełniona po licu spłynęła,
I zwilżyła warkocz włosa.
Czemuż po długich znajomości latach
Poraz pierwszy w śpiewaniu dziewica się miesza?
Cóż jéj stąd, że jak motyl swe skrzydła na kwiatach,
On swoje na jéj licach spójrzenia zawiesza?
Długo milczeli — czasami westchnieniem
Przerwą milczenie — ich wzrok jak przykuty
Tkwi w jednem miejscu, nieruchomie, smutnie;

Ledwo ich usta piosnkę dośpiewały,
Już dusze ich, jak dwie lutnię
Zgodnie do jednéj nastrojone nóty,
Jeden hymn miłości brzmiały.

Młodzieniec był szczęśliwy, kochany wzajemnie,
Mógł liczyć długie chwile szczęścia i wesela.
Szczęśliwy kto miłości nie żebrał daremnie!
Młodzieniec pragnął za wiele,
I myśliwa jego dusza
Dalsze, zacniéjsze polowała cele.
On skromny wieniec minstrela
Chciał zmienić w laur Tyrteusza.
Wprzódy śpiéwał kochance, dziś przez cnoty bliźnie
Chciał śpiéwać ziomkom, ojczyznie.
Choć myślą pożegnania nieraz duszę krwawił,
Wzrok oderwał od kochanki,
Lecz przy niéj serce zostawił.

Wnet pożar wojny wszystkie mu czucia wypali!
Zaledwo zdążył w rycerskie przegony,
Poszły w niepamięć rodzinne strony,
Już chłodniéj serce biło s pod stali.
Łzawa, miłośna wzroku błyskawica,
Melancholijna jak promień xiężyca,
W surowém zgasła spójrzeniu:
Usta odwykły westchnieniu,
A ogniem grozy iskrzyła źrenica.

Któż ci młodzieńcze ze snu zapomnienia
Dawne, dalekie obudzi wspomnienia?

Raz pośród uczty, s powagą na czole
Młodzieniec w rycerskiém kole,
Rycerskie dogrywał hymny.
Kiedy już ręka mdlejąca
Po strónach lutni błądziła,
W tém ostatnią stróne trąca,
I nótę z niéj wydobyła.
Młodzieńca dreszcz przejął zimny,
Lutnia zadrzała mu w ręku;
Bo w téj jednéj stróny dzwięku,
Była nóta piosenki, co jego kochana
Śpiéwała mu wtórując dzwiękiem fortepiana.

Młodzieniec zbrojne porzucił turnieje,
Wprzód wojenną sławą grzany,
Przystrajał lutnię na wznioslejsze tony;
Dziś żywił milsze i slodsze nadzieje,
Powrócił znowu w rodzinne strony,
Gdzie kochał, i był kochany.
Ale mu serce ziębi tajemnicza trwoga,
Gdzież twa luba, twoja droga?
Już twa luba śpi w mogile,
Nieprzespane, wieczne chwile.
Jakże cię boli jéj strata!
Wyrzekasz się ludzi, świata,

Już w rospacznych myślach cały,
Gdzie las dziki, strome skały,
Na przepaści stojąc progu,
Bluźnisz życiu, bluźnisz Bogu.
Słuchaj! oto piesń słowika,
W melodyjnéj, tęsknéj nócie,
Tęskne w sercu budzi czucie.
Słuchasz, głos jego duszę ci przenika,
I rad roisz tę piosnkę, co twoja kochana
Śpiéwała ci wtórując dzwiękiem fortepiana.

Boleść milcząca, ponura,
Przed tchnieniem pieśni wionęła;
A czarna rospaczy chmura
We łzy się rospłynęła.
Młodzieniec pocieszał drugim życiem siebie,
Roił niebieską chwilę powitania;
I marzył naprzemian w godzinach dumania,
To o lubéj, to o niebie!

* * *

Muzyko! błogo temu, śród nieszczęść nawału
Komu twojéj powieje harmonij skrzydło;
Kto wtedy myślą wzleci w sferę ideału,
I w niéj zmarłych nadziei stwarza malowidło.
Wtedy, jakby z ziemskiego odarta pokrycia,
Zabrzmi dusza drugiego melodiją życia.
O! jedne tylko ucho jéj dosłyszy

Ów hymn harmonii, który
Nócą gwiazdzistych miryadow chóry;
Gdy wtórując ich nócie o północnéj ciszy
Dla eterowych światow zabrzmi Lira nieba. (*)
Są to sny wyobraźni, a w nie wierzyć trzeba,
By w drugiém je sprawdzić życiu.
Marzy je dusza, po długiém czuwaniu
Mąk i cierpienia; a cierpiąc w ukryciu,
Wtém nowém myśli dumaniu,
Roi że wszystko stracone odzyska,
Znów się ze swémi zobaczy;
Nieśmiertelności gwiazda jéj błyska,
W nadziemskie życie ulata;
I nieśmie dziką nótą rospaczy
Mieszać harmonii świata.

r. 1828 *Warszawa*

(*) Konstellacija tak nazwana Lira. Astrologowie wiele jéj przymiotów przyznają; niektóre z nich wspomniane są przez Pontana w jego Uranii.

— Ecce novem cum pectine chordas
Emodulans, mulcetque novo vaga sidera cantu,
Quo captae nascentem animae concordia ducunt
Pectora, etc.

PIELGRZYMKA MYŚLI.

Ich schau' wie alles sich zum Ganzen webt
Eins in dem andern wirkt und lebt
Die wirkende Natur vor meiner Seele liegen.

GÖTHE.

Już widzę świat s kłamiącéj odarty obłudy,
Znikczemniały, skarlały pierworodne ludy.
Dojrzali ludzie, jak te drobne dzieci,
Zda się na pozor wielmożni rozumem,
Wirem społecznéj porwani zamieci,
W matnię przesądów wikłają się tłumem.

Patrz na młodzieńca, w saméj krasie wieku!
Ledwo zabłysnął na obszarach świata,
Już pierś jego lodowata;
Tonąc w brudnych uciech steku,
Żyje samotny śród ludzi.
Ni go ze snu lenistwa pieśń sławy przebudzi,
Ni się nauk ślachetnym zagrzeje zapałem:
Sam ściera życia najpiękniejsze kwiaty,
Aż nim strawiony zgrzybiałémi laty,
Umrze i duszą i ciałem.

Ten choć sławy pragnieniem palił się za młodu,
Choć z bratnićm sercem żył dla swéj braci,
Dziś chyląc się do zachodu,
Zaledwo śnieg sędziwy czoło mu przypruszy,
Tylko się w imie a pieniądz bogaci.
Z wiekiem wszystkie mu czucia wyziębią się w duszy,
Wyszydza cnót i uczuć młode ideały;
Sam pożytkując s fortuny obłowu,
Rad po spleśniałém przewala się złocie;
Wkońcu łakome uzbierawszy krocie,
Gaśnie, jako żar rostlały
Śród samotnego parowu.

Tu znów piękność roskwita anielskiego lica!
A któréj oczu silna błyskawica
Duszę nam wrzącym pali Wulkanem;
Którą jak cacko wyobraźnia młoda
W niebieskie ubrała kwiaty.
Patrz! czarująca zda się jéj uroda,
O! już jéj niższém hołdujesz kolanem,
Już ją w Platońskie wynosisz światy,
Lecz ledwo zdejmiesz z niéj mgłę urojenia,
Zaraz w prawdziwość zstąpisz z ideału;
A ślepe jéj narowom poznawszy złudzenia,
Słońcem prawdy rozświecisz ciemny mrok zapału,

O jakże świat ten chłodny, jak czczy, jak znikomy!
Myśli moja! ty wzbij się nad ziemskie poziomy.

Wzleć tam, gdzie na tle nieba tysiąc gwiazd się pali,
Gdzie słońce swe ogniste zatoczyło koła;
Gdzie ledwo skrzydło sokoła,
Wiosłem pierza stéruje po powietrznéj fali.

I wnet myślą wzleciałem nad ziemskie poziomy,
I duch mój powędrował w napowietrzne domy;
I nagle mgłą obłoku zakryłem się ciemną,
Niebo było nademną, a ziemia podemną.

Tam! xiężyca skroń młodzieńczą
Bladém złotem gwiazdy wieńczą.
Tam! kometa złoto-włosy,
Trzęsąc żar z ognistéj kosy,
Jak po morskiéj łodź powodzi,
W zakreślonych drogach chodzi.
Śród ich brylantowe gwiazdy,
Wieczna krasa nocnéj szaty,
Na wieczorne idą jazdy.
Tak dzwignąwszy górne loty,
Podsłoneczne badam światy.
Czyją sprawą, czyją mocą
Zrachowane gwiazd obroty?
Kto im kazał świecić nocą?
Ten-li co stworzył niebiosa
Powiązał je nicią zgody?
Znów-li im berło Chaosa
Nowe nakaże rozwody.

Aż wtém mgła mi wzrok obwieje,
W dali niebo błękitnieje;
Wszystko znikło w mgnieniu oka:
I ta przestrzeń ziem szeroka,
I ocean niezmierzony,
Co staréj ziemi olbrzyma
Mokrémi obiął ramiony,
Już drobnieje — już go nié ma.

Wtém, jak piorun co z wysoka
Gdy się s czarną swarzy chmurą,
Głos mi zagrzmiał z za obłoka,
«Orla myśli zniż twe pióro!
Wstrzymaj, wstrzymaj harde loty,
Śmieszli wznieść krok mdły, poziomy,
Nad gwiaździste nieb namioty,
Gdzie króluje Nieznajomy?
Marne chęci, czcze życzenia,
Tam! w krainie urojenia,
Gdzie duch wieszczy gościć lubi,
Niech się twoje skrzydło gubi.
Tam twe państwo, tam mieszkanie!
Niechaj przyjaźń, niech kochanie
S czarującym swym urokiem,
Chodzą s tobą krok za krokiem.»
I zdrożona myśl poszła w kraje wyobraźni,
I spoczęła w objęciach kochania, przyjaźni.

r. 1825 *Wilno.*

RÓŻNICA PŁCI (*).

Zaledwo w rościeplonych śniegach zima skona,
A wiosna umaluje kwiatami ogrody;
Patrz, jak razem wychodzą s spólnéj matki łona
Róża i narcys; — jedne tam ich rzeźwią chłody,
Jedna ich rosa poi, jedna karmi ziemia,
Toż słońce im przyświéca, taż ich noc zaciemia.
Ten zaledwo rozwinie zawój śnieżnéj bieli,
Zaraz dumny swym kształtem czołem w górę strzeli.
Ta skromniejsza, w drzew cieniu swe rozwija krasy,
Każdy z nas ją w najdalsze rad zachować czasy;
Wdzięczna ona dla woni i piękna na wieniec,
Tą różą jest dziewica, narcysem młodzieniec.

Patrz na te dzieci jeszcze s powicia
W obięciach piastunki śpiące!
Ledwo stanęły na progu życia,
Już jak na wiosnę majowe słońce
Przemalowane w szybach potoku,

(*) Naśladowanie s Szyllera *die Geschlechter.*

Wszystkie ich czucia malują się w oku.
Każdą myśl przejrzysz we zwierciadle lica,
Sam głos ich mową, tłumaczem źrenica.
Lecz z laty ich wiążący łańcuch się rozdziela,
U téj bojaźń, u tego powaga na twarzy;
Téj się wzrok słodką łagodnością żarzy,
A temu z oka promień przyszłéj dumy strzela.

Patrz, jak chłopiec zaledwo dwa ukończył roki,
Zaledwo się pouczył śmieléj stawiać kroki,
W dziecinnéj myśli cóś męskiego roi.
Zawsze sam w sobie, sam sobą zajęty,
To z rówiennemi igrając chłopięty,
Wojenne hufce do poboju zbroi.
To na wyścigi do przegonów leci,
To s kart warowne zamki, miasta kleci;
A kiedy starość dawne dzieje grucha,
Rad ich powieściom nadstawuje ucha.

Piękna! już się rozwinął twojéj kwiat urody,
Już nie jeden ją pasie głodnémi oczyma;
Wzrok twój ogniem się pali, a pełność dojrzała
Kwitnące kształty zaokrągla ciała.
O! wzrok ten same rostopiłby lody,
Lecz duma, jak pas jąki, wdzięk na straży trzyma.
Trwożna, jak łani gdy ją w kniejach ogar ściga,
Dziéwka obca miłości zrazu chłopców stroni.
Czy kiedy lekką stopą w krąg tanecny śmiga,

Darmo za nią młodzieży czujne oko goni.
Jak słońce s chmur, ukradkiem pogląda z uboczy;
Sama siebie się wstydzi, wzrok po ziemi toczy,
A wnętrzną bojaźń twarzy wydaje rumieniec.

Śmielej s pod ciemnych rzęsów wyziera młodzieniec'
Ledwo mu lica miękki włos odzieje,
W przyszłość olbrzymie budując nadzieje,
Karmi umysł bezspokojny.
Pierś mu wre pożarem wojny,
Wyrzeka się domu, krewnych;
Wśród łez i pożegnań rzewnych,
Stoi jak skała, łzy nie puści z oka.
Usycha pragnieniem męstwa,
Aż nim na skrzydłach zwycięstwa
Wzleci, kędy go sławy przywabia opoka.

Więc pozwól, niech za młodu miecz mu w ręku błyska,
Niech mu pancerz żelazny młodą pierś ociska;
Niech na błoniach, gdzie gęsto las włóczni się jeży,
Krzepką stopą co lepszych ubiega rycerzy.
Niechaj — lecz czas tę uczuć gorączkę przepali.
Patrzcie! już wraca — jako łodź na fali,
Porwany burzą z orężem w ręku,
Świat jak szeroki owędrował kołem.
Ledwo z ojczystym powitał się progiem,
Łza mu się hojna ze źrenic poleje;
A dłoń stężała w dużaniach się z wrogiem,

W objęciach krewnych, przyjaciół się chwieje.
Aż w tém w kwiecie lat i wdzięku,
Ujrzy przed sobą dziewicę:
Piękności! któż ci nie bije czołem?
Ledwo ją poznał — te okolice,
Też same błonia, te miejsca rodu,
Gdzie s chłodném sercem igrał za młodu,
Jéj mu ogniste mnożą obrazy.
Jak na wiosnę lodów głazy,
Cieką przed słońca promieniem;
Tak przed dziewicy spójrzeniem,
Serce jego jak lód tonie,
A wzrok mu zarzewiem płonie.

Dziewico! skąd ci pierś twa westchnieniem się wzdyma?
Młodzieńcze! za kim gonisz łzawémi oczyma?

Gdy ją zoczy — już szczęśliwy,
Lecz mniéj śmiały jak uprzednio,
Więcéj skromny, więcéj tkliwy,
Więcéj niemy stoi przed nią:
Bo choć z ust nie idą słowa,
Czynna oczu ich wymowa.
O słodkie troski, słodsze nadzieje,
O złoty pierwszéj miłości wieku,
Błogi kto w życiu skosztował ciebie!
Jak ci lubo o człowieku!
Szczęściem ci się przyszłość śmieje,

Duch przedwcześnie ginie w niebie.
O kwitnij wiecznie w zielonéj krasie,
Najsłodszy pierwszych miłostek czasie!

Długo własnym upałem trawi się młodzieniec,
Ale żądza łakoma nie przestaje na tém.
I cóż w nim te wulkanów przygasi rostopy?
Patrzcie! już skroń dziewicy stroi mirtu wieniec,
A tak za bożkiem skrzydlatym
Uskrzydlone zwycięstwo polatuje w tropy.
Chwała tobie miłości! ty s staraniem tkliwém
Pierwszaś dwie dusze wieczném związała ogniwem.

DO WIECZNOŚCI (*).

Gdzieżeś uleciał wieku mój młody,
Gdzie twoje szczęście rojone s powicia?
Jak uśmiéch słońca podczas niepogody,
Ledwo zabłysnął poranek życia,
Przeszło południe — już i zachód blisko.

Raz tylko dla nas kwitnie maj żywota,
Lecz gdy kwiat jego zaczasem zwiędnieje,
Ach, jakaż potém szaruga i słota,
Jak skąpym blaskiem lampa życia tleje!
Bywaj mi zdrowe piękne snu ziawisko!

Wieczności! stoję na twoim progu.
Lecz wprzód nim ciałem w nicość przepadnę,
Nim ducha mego powrócę Bogu,
Niech wprzód zagadkę przyszłości odgadnę,
Ja ciągle byłem tak dobry, tak tkliwy!

(*) Naśladowanie s Szyllera *die Resignation.*

Miałem na szczęście przywiléj od ciebie,
Słodka nadziejo przepadnij s pamięci!
Przyjmij go nazad! jako Bog na niebie,
Nirazu jego nietknąłem pieczęci;
Nieznałem szczęścia, nie byłem szczęśliwy!

Więc nim się w twojéj pogrążę głębi,
Przed twoim tronem wznoszę skargi moje!
Tam złych, jak mówją, wieczna trwoga ziębi,
Dobrych niebieskie czekają napoje,
I życie wieczne i wieczne roskosze.

Tam to wygnańcom po błędnéj drodze
Ciernista cierpień kończy się ścieszka:
Więc nim śmierć życia pokróci wodze,
Nim duch mój w twoich sferach zamieszka,
Przed twoim tronem skargi me zanoszę!

— «Daj mi swą młodość! a stłum próżną trwogę,
W drugiém cię życiu nie minie zapłata.
W tém tylko ciebie dziś objaśnić mogę — »
I wnet młodzieńcze oddałem ci lata,
I duch mój wyćwiczyłem w długiéj cierpień probie.

Daj mi swą przyjaźń! i ową dziewicę,
Któréj, miłośny pędzel wyobraźni
W twém sercu wiernie przemalował lice — »
Wyrzekłem się na zawsze miłości, przyjaźni,
Wyrwałem ją z mych piersi — i oddałem tobie.

— «Daj mi swe życie!» i te ci dam jeszcze.
Ale Wieczności gdzież twe drugie życie,
Którém dziś dumę duszy mojéj pieszczę?
Czyż twoja jasność, jak gwiazda o świcie,
Zawsze zakryta mglistą niepewnością?

Czyliż te życia kłamiące obrazy,
Mumiję czasu strawioną zniszczeniem,
Którą, wpędziwszy między zimne głazy,
Wonném nadzieja owinęła tchnieniem,
Szaleni śmiemy zwać nieśmiertelnością?

O któż mi wskrzesi umarłe uciechy!
W tobie ufając wiek styrałem młody;
Znosiłem świata szydercze uśmiechy,
Wieczności! gdzież są twoje nagrody,
Azali drugiém odmłodnisz mię życiem?

— «Zamilcz, twa skarga w powietrzu nie ginie,
Odwieczna Mądrość prawdziwa, głęboka.
Dwa kwiaty rosną na życia dolinie,
Dwa kwiaty kwitną dla mędrców oka,
Jeden zowią nadzieją, a drugi użyciem.

Pięknie się wprawdzie kwiat uciech zieleni,
Lecz kto szczęśliwszy uszczkniesz kwiat nadziei,
Nie pragnij więcéj! — bo drugi s kolei
Rychło ci zwiędnie, i w dosyt się zmieni,
I cały urok poodziera z życia.

Co do przyszłości? nie tobie ją zgadać!
Niebo ci do niéj zatrzasnęło wrota.
Tymczasem umiéj to co masz posiadać,
Bo błogo temu! kto po kres żywota
Trwał ciągle w chęci użycia.

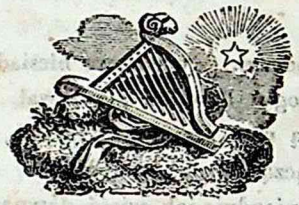

UPADEK HEBY.

DYTYRAMB

z Moora.

Było to podczas, gdy na swe biesiady
Bogów i bogiń Kronion przyzywał.
Gwiazdzistą rosą puhar połyskiwał,
Rosą co sączą świateł miryady:
S którego niegdyś, jak wieść dawna słynie,
Wszechmocny w pierwszéj stworzenia godzinie
Duszy eteru wylał płyn obfity 1).

Już na średnie nieba szczyty,
Ze wschodnich wysp wędrujące
Obłoki ich wonią tchnące,
Skąpane w słońca promieniu,
Wrospierzchłych kształtach kołują po niebie,
I świt wilgotny wysączyły s siebie.
Wszystko i wszystko było w zachwyceniu!

Wszystko musi zachwycać gdzie się Bachus śmieje,
Piękny on pośród biesiadnego choru;

Złoty warkocz meteoru,
Na głowie jego jaśnieje.
I w kształt liścia utrefiony,
Jak winograd przechylony,
Promienne czoło ocienia.
Na jego łonie Cytersi głowa
Wdzięcznie spoczęła — o rzekłbyś zdumiały,
Że sławiąc wschód jéj piękności,
Syreny hymny śpiewały!
Gdy ją w dzień jéj urodzenia
Ukołysała do snu fala lazurowa,
I straż nad nią śród morskiéj trzymała głębini.
Patrzaj, jak piękna bogini,
Rzucając na jego wzrok pełen miłości,
Wzdycha w więzach zachwycenia!
I znowu w jego objęciu szczęśliwa,
Ognistém okiem powłoczy;
I pas mu uroczny s pod szaty odkrywa,
I w dłoni chowa zapłonione oczy.
To znów, gdy zagrzmią toasty godowe,
Ona usta koralowe,
Gdy ją pragnienia palą,
Chłodzi nektaru falą.
Sam Bachus czarę do ust jéj pomyka,
A s pod jéj rzęsow taki blask wynika,
Jak przed wieczorem słoneczna rosa;
Upada, błyska na czarze,
I już się odbił w nektarze.

Tymczasem fale złotego jéj włosa
Swiéże jéj jagód ocieniając róże,
Zmieszane z lica jéj śniegiem,
Igrając nad czary brzegiem,
Malują się w przejrzystéj nektaru purpurze.
Tak złotem lśniący kwiat safranowy,
Tak i Cyreny róże gorejące,
Nim zajdzie wieczorne słońce,
Odbija w swém zwierciadle strumień kryształowy.

Już Olympian czara błyska w Hcby ręku,
Już bogini w kwiecie wdzięku,
Szafarka boskich napojów;
Lecąca na szczyt samy empirejskiéj góry,
Czerpała krople duszy z jéj gwiazdzistych zdrojów. (2)
I gdy płyn jeszcze rozgrzany upalem,
Pieniąc się kipiał po brzegach puharu,
Jak woda w kotle ogniem rospalonym:
Jéj było staraniem całém,
Niebieski ogień nektaru,
Chłodzić w powietrzu sniegiem upierzonym.
Jakiém Równika oddychają dzieci,
W kraju urocznym, gdzie z żądzą miłośną
Życie zakwita nieprzekwitłą wiosną,
I wiatr północny nigdy nie dolecí.
O Hebe! powiedź wtedy jakżeś się spłakała,
Jakimże się rumieńcem twoja twarz oblała,
Jakżeś pobladła od trwogi?

Kiedy powiew Charyty uskrzydlał twe kroki,
Lecącéj szybko na Olymp wysoki....
Już, już niosłaś puhar drogi
Dla samego Kroniona!
Wtém Heby wdziękiem zdumiona,
Podniosłszy głowę nad niebieskie stropy,
Ciekawa gwiazda zabiegła jéj drogę:
I by jéj piękne ucałować stopy,
Niechcąca rączą uczepiła nogę.
I Bogowie widzieli, jak trwogą pobladła,
W całym wdzięku swych kształtów wzdłuż nieba upadła! (3)
I na gwiazdzistéj przestrzeni leżała,
Jak na swych łąkach lilija biała:
Gdy jéj wiatr mleczne przechyli czoło,
A łzy poranku błyszczą wokoło.
Patrz; wiatry zalotne jak pędzą ochocze,
Igrając, całując jéj włosa warkocze.
To niby jéj chęciom powolne,
Kształty jéj ciała pieszczą z roskoszą.
Ach jakże wiatry swawolne!
I długie jéj szaty na skrzydłach podnoszą,
Któréj tak skromne, tak święte osłony,
Strzegły jéj ciała alabastr pieszczony;
Że zdały się ową tajemną zasłoną,
Pod którą świętość Eleuzyńską czczono.

* * *

Junony oczy,
Gniewem zaiskrzyły;

Stojące w uboczy
Muzy się rumieniły:
I za liry uwieńczone,
Kryły lica zapłonione;
A przez złote strony liry,
Błyskały jasne ich ocząt safiry.
I w chwili kiedy Hebe w kwiecie wdzięku
Niebieski puhar upuściła z ręku,
Nektar z niego wylany skróś niebiós przecieka.
Jakiż duch wtenczas opiekuńczy człeka,
Gdy wszyscy Bogowie tak zajęci byli,
Pamiętał o nim w téj roskosznej chwili?
I skrzydłami miłości
Zmiatając nektar w krople rozlany,
Zesłał na ziemię dar pożądany,
Treść nieśmiertelności!

* * *

Deszcz nektaru gorejący,
Błysnął w eteru przestrzeniach,
I wonnym oddechem tchnący,
Złocony w słońca promieniach,
Jak tęcza świecąca,
Zbiegł po nieba łęku:
Rzęsistym potokiem
W powietrzu błyska,
Kroplistym obłokiem
Na koło pryska;

I strony Liry niebieskiéj potrąca, (4)
Unosząc s sobą harmoniją dzwięku.
Ci co Atlasu zamieszkali grzbiety
Widząc płyn ognisty,
Lecący przez stepy nocy wieczystéj,
Wierzyli go ogniem nowego planety:
Którego miotła promienna
Wtak jasny płyn się zmieniła,
Jak gdyby ją gwiazda dzienna,
W swoich ogniach rostopiła.

Już piękne dnia dziécie,
W wodnéj lilii kielichu,
Wdzięcznie spokojnie drzémało! (5).
Jeszcze go zlekka, pocichu,
Morze do snu kołysało.
Wtém deszcz spadając po niebios błękicie,
Kropił obłoki różowe,
Które wieńcząc chłopca głowę,
Trefiły się w kształt warkoczy.
Chłopiec się budzi, otwiera oczy —
I złoty warkocz włosa,
Zarzucił na niebiosa.
O dniu radości! precz ziemskie troski!
Już nektar boski,
Jak srébrna rosa
Z nocy puharu,
Spada na ziemię.

Śmiertelne plemie,
S twarzą zdumiałą,
W kroplach nektaru,
Wino ujrzało!

Szczęśliwa ziemia! szczęśliwe kwiaty!
Co po raz pierwszy na swoje łono
Przyjęły kroplę święconą!
Lecz te daleko mniéj droższe kwiaty,
Lecz ta daleko ziemia mniéj błoga,
Na które, w kształcie obręczy
Zarzuca geniusz tęczy
Płaszcz czarodziéjski słonecznego Boga! (6)

NOTY.

(1) *Jest to wyobrażenie platońskie. — Plato mówi w swoim Timeuszu że Bóstwo, naprzód po ukształceniu duszy świata, przystąpiło s kolei do tworzenia dusz drugich, w którym procesie użyło tegoż samego puharu, choć już płyn weń wmieszany i wlany mniéj był czystym jak pierwszy. Przymięszawszy więc do téj mieszaniny nieco s swojéj własnéj treści, Bóstwo rozdało go pomiędzy gwiazdy, które odtąd mają służyć za zrzódła podobnego płynu.*

(2) *Heraklit fizyk utrzymuje, że dusza nasza jest niejako iskrą z gwiazdzistéj materyi. «Scintilla stellaris essentiae.» Macrobius in Somn. lib. I. cap. 11.*

(3) *Serwiusz i drudzy Starożytni wspominają o tém nieszczęśliwém wydarzeniu Heby podczas sprawowania przez nią podczaszego urzędu; a Hoffman za nimi powiada: «Cum Hebe pocula Jovi administrans perque lubricum minus caute incedens, cecidisset, revolutisque vestibus.»*

(4) *Konstellacija Lira.*

(5) *Egipcianie wyobrażają wschod dnia w postaci młodego chłopca siedzącego na lilii wodnéj, raczéj na lotusie.*

(6) *Starożytni wiele przymiotów i wdzięku przywiązują szczególnie do tych miejsc, drzew i kwiatów, na których tęcza zwykła się odbijać.*

ELEGIJE.

WIERSZE RÓŻNE.

Bilder so wie Leidenschaften
Mögen gern am Liede haften.
Göthe.

REGEL.

VIERTE RÖSNE.

ELEGIJE.

I.

Widziałem ja dziewice niebieskiéj urody,
Tych purpurową różą zakwitnęły lica,
Téj białość lilijowa oblała jagody,
Tych słońca błyskawicą przelyska źrenica.

Tłum pięknych dziewic ujrzysz w Mendoga krainie,
Gdy na wiosnę ustroją powilejskie błonie;
Wdzięczne są, jak na młodéj rosnące darninie
Kwiaty, gdy swe w powietrzu rozlewają wonie.

O! czarowna ich postać, ogniste spójrzenia,
W nich i minstrel wiślański czerpa swe natchnienia:
Cóż za dziw! że i pełni lirycznéj ochoty
Hołd ich wdziękom litewskie nócą wajdeloty.
Piękne są, jak huryski w Mahomeda niebie,
Lecz tyś temu piękniejsza co pokochał ciebie.

Błogi kraj który twoje oświecają oczy,
Błogi, szczęśliwy wiatr ten, co pod drzewa cieniem
Całując włos jedwabny twych długich warkoczy,
Swe łagodne oddechy s twoiém zlewa tchnieniem.

Gdzie ty mieszkasz tam ciągłym majem kwitną góry,
Tam i kwiatem wybrańszym stroją się ogrody;
Tam safiry niebieskie, czyste jak szkło wody,
Nieznają zazdroszczącéj swoich blasków chmury.

O luba! czemuż w cnoty i piękność bogata,
Tak długo swój wdzięk kryjesz przed obliczem świata?
Snać stronisz przed natrętnych młodzianow spójrzeniem,
Chcących pierś twą miłośnym zapalić płomieniem.

Tak ów koral kosztowny w oceenu łonie,
Którego oko słońca nigdy nie ogląda,
Trwożny, by go śmiertelne nie skaziły dłonie,
Wilgotnym fali rąbkiem wdzięk swój zakryć żąda:
I w dziewiczéj czystości wiecznie mieszka na dnie,
Aż nim jego dłoń nurka z głębi wód wykradnie.

II.

Tout change tout passe.

Wszystko mija! i czemuż tak wszystko przemija?
Niebo raz nachmurzone znowu lśni pogodnie,
Zwarzony zimą wiosna znowu kwiat rozwija,
I stara twarz xiężyca na nowiu odmłodnie.

Jeden czas dla nas tylko skarbu uciech skąpi.
Jakże długi żal bywa uciechy niedługiéj!
Znikłéj jednéj roskoszy druga nie zastąpi,
Pamięć piérwszéj jest często trucizną dla drugiéj.

Wszystko mija! szczęśliwy kto polubił chwałę,
Kto rad zapomnieć siebie, śród wojennéj wrzawy
Na dolinach zwycięstwa uszczknął wieniec sławy:
Piękne są kwiaty jego — lecz ach, jak nietrwałe!

I ten któremu wieszczy głos bogowie dali,
Szczęśliwy, jeśli pieśnią w późny wiek zasłynie.
Jeśli jéj ogniem serce kochanki zapali!
Cóż? gdy dźwięk jéj jak echo przebrzmi i przeminie.

I w roskosznéj miłośnych uniesień godzinie,
Gdy łza ze łzą, westchnienie z westchnieniem się zleją;
Łzy się z czasem wypłaczą, westchnienia przewieją,
Ledwo że sama pamięć o nich nie zaginie.

010484.

Lecz gdy piękne młodości upłyną nam lata,
Wtedy odarci s skarbow, jak okręt z rozbicia,
Żeglujem po samotnym oceanie świata,
Niespokojni, gdzie kotew zarzucimy życia?

Błogi jeszcze! gdy duszę niepewności dręczą,
Komu gwiazda nadzici świat rozświeci drugi:
Komu niebo zabłyśnie przebaczenia tęczą,
Jakaż wtedy wnas cisza, jaki cel żeglugi!

Tak xiężyc gdy wre morze, i wodniste góry
Niosą wojnę spokojnym muszlóm i koralóm,
Jako poseł pogody wychodzi z za chmury,
I do snu kołysanym uśmiécha się falom.

III.

DO NIEMNA.

Niemnie! rodzinna wodo, rzek litewskich xiąże!
Jakże piękne s twéj urny wylały się zdroje!
Lecz gdzież są tak sławione wajdeloty twoje?
Kto godną ciebie piosnkę na lutni nawiąże?
Gdzież są, i także snadnie oni cię zabyli!

Gdzie ów śpiewak słowiczy s kurhanku Maryli (*)
Sławiący twoje wody, doliny i kwiecie?
I on dzisiaj gdzieś goni po szerokim świecie!
Niemnie! gdzie są rodzone twych brzegów Rusałki?
Jak narcys urodziwe, skromne jak fijałki.
Ile gwiazd niedoliczyć przy xiężyca blasku,
Ile pereł na morskim rozbielonych piasku,
Tyle dziewic na brzegach niemeńskich świeciło.
Gdzieście piękne Rusałki, cóż was stąd spłoszyło?
I za kim dziś spłakaną pogonię powieką?
Was tu niéma — a moja dobrze stąd daleko!

Niemnie! ojczysta rzeko! gdzie są tamte wody,
Gdzie Litwin s chwałą bieżał w rycerskie zawody?
Gdzie twoje możne zamki, co błyszcząc do koła
Grożące szturmującym nadstawiały czoła?
Zamki w gruzach leżące kurhany pokryli,
A z niémi krymskie łuki krzyżackie grabieże;
Zamki, miasta, i wszyscy ciebie opuścili,
Jeden dąb wierny tylko twoich brzegów strzeże;
O stokroć dąb szczęśliwszy na dolinach Niemna!
Bo czy mu ranek świta, czy noc mgli się ciemna,
Wdzięczny ziemi, gdzie starzał, i gdzie rosł za młodu

(*) Tam u zielonej rozłogi,
Tam u niemnowej odnogi,
Co to za piękny kurhanek?

Adam Mickiewicz.

Zielonym cieniem zdobi miejsce swego rodu.
A choć go czasem piorun ogniem zapłomieni,
Zimą z liści obnaży — znów się rozzieleni,
Zimą gasnący starzec, z wiosną znów młodzieńczy,
Majową zielonością nagie czoło wieńczy.
Nie wszystkim ręka czasu téj ugina szali!
Raz nam genijusz życia zapala pochodnię:
Mur, zamek już nie wstanie, gdy się raz powali,
Żelazo rdza przetrawi — człowiek nie odmłodnie.

Niemnie! zwierciadło Litwy, stoku kryształowy,
Wciebie, litewskie ziemie, litewskie dąbrowy,
Jak dziewice na świetną idące biesiadę,
By w lustra wygładzone wpatrują się rade!
Niemnie! widziałem ciebie, gdy tłum ciężkich łodzi
Uroczyście po twojéj pławił się powodzi;
Widziałem cię, gdyś ginął w nieprzejrzanym lesie,
Gdzie ci rącza Molczadka wodny haracz niesie;
Gdzie Wiliją miłośnym uściskasz kryształem,
Lecz nigdy jam cię s takim nie witał zapałem!

Niemnie! jakżeś mi cichy — zda się że twe wody
Zdrzémały się, dziennémi zdrożone uchody.
Jakże lubo na ciebie spozierać wieczorem!
Te we mglistéj powłoce ciemniejące fale,
Te brzegi wód cienistym oczernione borem;
Słowik melancholijne śpiéwający żale,
I te głosy natury w cichém wód szemraniu,

Jakże zgodnie wtórują mojemu dumaniu!
Wdzięcznym ci—lecz tę wdzięczność słuszna zawiść dzieli,
Tyś mi wziął najlepszego z moich przyjaciel!
Bo już barka ochotna za pomocą wiosła,
Niechętnego na drugie brzegi mię uniosła.
A na tamtych zostały najlepsze dni moje,
Na tamtych łez najsłodsze wypłakałem zdroje;
Tam piłem rajski nektar miłości, przyjaźni,
Wszystko przeszło! jak przeszły sny mej wyobraźni...
Tylko zdala twe fale błyskają w noc ciemną,
Tak przeszłość błyszczy za mną a przyszłość przede mną.
Tym czasem witaj dla mnie, witaj kraju nowy!
Żegnaj luba przeszłości — Niemnie bywaj zdrowy!

r. 1825 *Strzała*

IV.

Dzień pochyły na zachód jasne zwrócił ślady,
Coraz ciemniejszy błękit powleka niebiosy;
Gwiazdy w milczeniu sączą łzy wieczornej rosy,
I we mgle xiężyc widny — lecz o jakże blady!

Czemuż mi dziś tak nie lśni jego blask promienia?
Jak niegdyś w miłośnego chwilach zachwycenia,
Gdym patrzał naprzemiany, to na twarz xiężyca,
To na wieczorne niebo, to na lubéj lica.

Zdrój brzęczy, szumią fale wiosennych bławatów,
Kwiat był piękniejszy, strumień lał głośniejsze dźwięki:
Gdym słuchał twego głosu, czuł uścisk twéj ręki,
Gdy mi usta twe wonią oddychały kwiatów.

Gdzie z gęstych drzew zielona wznosi się arkada,
Nadstawiam ucha — słyszę głos twój w szmerze liścia;
Nigdyż się ja tu twego niedoczekam przyjścia?
Pytam echa — i echo nigdy! odpowiada.

Ciemno! xiężyc zachodzi — wiatr westchnienia głuszy,
I myśl moję żałobny cień tęsknoty mroczy:
O luba! chyba twoje tak świecące oczy
Mogłyby dziś rozjaśnić tę noc mojéj duszy;

V.

POŻEGNANIE DO A. H.

Bądźcie mi zdrowe wilejskie dziewice,
Lecz nie pytajcie, czego tak mi nudno?
Witać, i żegnać ukochane lice,
O w takiéj chwili wesołym być trudno!

Wczora gdy radość brzmiała tu w około,
Gdy uśmiéch wasze ukraszał jagody;
Ja tylko niosłem nachmurzone czoło,
Lecz mieszać waszéj nie śmiałem pogody.

Tylko jak widmo szczęśliwszéj przeszłości,
Przyszedłem błądzić na pamiątek grobie;
Patrzałem na was — i marzyłem sobie,
O chwilach z wami spędzonych w radości.

Czemuż myśliłem lat minionych dzieje
Tak wiele w sobie mają dziś uroku?
Wrócąli kiedy tych czasow nadzieje?
Wspomniałem przeszłość — i łzy miałem w oku!

O z łez niechciejcie urągać poecie!
Łzóm a westchnieniom trudno znaleść tamy;
Wy sercem czułe, wy pojąć możecie
Łzy, co gojące leją nam balsamy.

Bo czego oko łzą nie wypłakało,
Ulżyć westchnieniem pragniemy daremno!
Dziś niebo szczęścia za mną już zostało,
A piekło ciérpień może już przedemną.

VI.

O najmilsza przez litość zbliż do arfy rękę!
Znajoméj ręki stróna milcząca posłucha:
A głosem wypieszczonym, tą myzyką ucha,
Zanóć mi niegdyś dla mnie śpiéwaną piosenkę!

Powiedz, długo-li milczeć będzie arfa twoja?
Obudź w jéj złotych strónach harmoniją śpiącą!
Lecz pieśń kiedyś radością i weselem tchnącą,
Nóć mi tęskno — albowiem tęskna dusza moja.

Może myśl martwa skrzydło marzenia rostoczy,
I omdlałe w méj piersi orzeźwi wspomnienie:
A ja nieme przez usta poślę ci westchnienie,
I w twém licu utopię dumające oczy.

O wtedy spójrzyj na mnie! a jak lekkiém tchnieniem
Wietrzyk wieczorną rosę otrąci z obłoku,
Westchnij i z ust powoli wiejącém westchnieniem
Owiéj łzę, jeśli jaka zabłyśnie w mém oku.

Ty śpiéwasz — o i czemuż głos twój dziś za słaby
Wstecz cofnąć lat szczęśliwszych upłynione zdroje?
Wszak jeszcze wiosną życia kwitną twe powaby,
Jeszcze ogniem młodości palą oczy twoje.

Rzuć arfę! przestań śpiéwać! głos twój mię nie wzruszy!
Uśmiéch zbyt częsty, czoło za nadto pogodne,
Słabo się odbijają w kochającéj duszy;
I serca nasze bliskie — lecz o jakże chłodne!

VII.

W DZIEŃ MOICH URODZIN.

Pokłon ci opiekuńczy genijuszu życia!
Tyle lat mi najlepszych wziąłeś z méj młodości,
A jeszcze ufny w tobie, jak żeglarz z rozbicia,
Resztę dni moich pławię do portu wieczności!

Zle czy dobrze, to morze nam przepłynąć trzeba!
Lecz gdy kompas pewnego nie wskazuje biegu,
Gdy śród drogi za chmurę zaszły gwiazdy nieba,
Jak trudno s całym żaglem zawinąć do brzegu!

Pomnisz, gdyś mego życia zapalał pochodnię,
Gdyś swą ręką mnie złożył w piastunki objęcia,
Jak one piękne było w godzinie poczęcia,
Jakże niebo nademną świeciło pogodnie!

Niegdys dziećkiem pod czujną twoich skrzydeł strażą
Usypiałem na przyszłość długich cierpień jeniec;
Dziś żyć, i żyjąc cierpieć dla nadzici każą,
Jakżem drogo okupił ten męczeński wieniec!

—«Stamuj żal twój! rzuć okiem po życia dolinie,
Taż sama gwiazda co ci świeciła w powiciu,
Dla tylu drugich świeci — w twojém dalszém życiu
Może tobie kwiat jaki jeszcze się rozwinie.»

—» Widziałem wiele kwiatów, i biegłem s pośpiechem
Wieniec dni moich zdobić miłością i chwałą;
Lecz ledwom czego dotknął, wnet wszystko więdniało
Jak gdyby przed zatrutym Syroki oddechem.»

—«Jeśli ci tak nie błogo w rzeczywistym świecie,
Wszak nie darmo ci dałem skrzydła wyobraźni;
Bujaj, latay gdzie latać godzi się poecie,
Tam stwarzaj godne wzory miłości, przyjaźni.»

—«Widziałem ja wylęgłe w myśli mojéj światy,
Pieściłem piękne wzory stworzone przeze mnie:
Lecz ach! cały ten orszak z dojrzalszémi laty,
Daleko, bez powrótu uleciał odemnie.»

—«Przyszłość twoją przed tobą jeszcze mgła powleka,
A na drodze do grobu, mimo tylu cierni,
Wiele na ciebie kwiatów jeszcze w pączkach czeka,
Kochająca dziewica, przyjaciele wierni.»

Szczęśliwy kto swe losy powierzył kobiécie!
Ona, jak ta gołąbka zwiastunka pogody,
Przychodzi, i zwiastując pogodniejsze życie
Niesie w nasz korab rószczkę pokoju i zgody.

VIII.

Chwilę tylkom ją widział — a w téj jednéj chwili,
Zebrało się lat tyle i przeszłość tak długa!
Przecież, gdyby mi przy niéj zbiegła wieczność druga,
O! jeszczebyśmy s sobą chwilę tylko żyli.

Chwilę tylkom z nią mówił — lecz ze słów tysiąca,
Ledwom wybrał dwa słowa, powiedział dwa słowa:
Wprzód rzekłem «witam ciebie!» a potém «bądź zdrowa!»
O! czemuż i ta chwila tak była lecąca?

Przecież w czasach szczęśliwszych gdyśmy siebie znali,
Rozmawialiśmy nieraz i więcéj i smieléj!
Zdawało się, gdybyśmy wieki rozmawiali,
Jeszczebyśmy cóś s sobą do mówienia mieli.

Chwilę tylkom ją witał — z jakimże zapałem,
Czemuż z głowy téj myśli nie mogę odegnać?
Znajoméj nam przeszłości w jéj oczach pytałem!
Zawsze chciałbym ją witać, ale nigdy żegnać.

Chwilę tylkom ją żegnał — w téj okropnéj porze,
O sobie i o czasie pewnobym nie wiedział:
Gdyby wtedy kto spytał, jaki czas być może?
Wieczność!» pytającemu wnetbym odpowiedział.

IX.

Przecz iskrą gniewu błyszczy twa źrenica,
Gdy pocałunkiem zabrzmią usta czyje?
Wiedz, że kto lice przybliży do lica,
Ten piérwszy kielich roskoszy wypije.

Gdy się pierś czuciem pocałunku wzruszy,
Co człek czuć może a pojąć nie umie,
O! kiedy serce s sercem się zrozumie,
On dla kochanków jest muzyką duszy!

Spójrzyj! jak niebo, i ziemię i wody,
Łańcuch wzajemnéj miłości oplata!
Spornych żywiołów pocałunek zgody,
Piérwszém był hasłem harmonii świata.

Gdy świat był w chwili swojego poczęcia,
Ciemność pierzchała, dzień zatlił niebiosy;
Słońce wyciekło s chaosu objęcia,
I gwiazda nocne wypłakała rosy.

Bóg tchnął miłością — ziemia, woda, niebo,
Świat cały gore kochania potrzebą.
Skinął! — i piérwsza Edenu ziemianka
Płonie w objęciach rajskiego kochanka.

W swych brzegach grają roskochane fale,
Czuła gołąbka swoję miłość grucha,
Lutnia poety brzmi miłośne żale,
I miłość drugi poczęła świat ducha.

O! tam, wysoko, gdzie święte Cheruby
Strzegą spraw naszych — gdzie Anioł zbawienia
I łzy kochanki, poety westchnienia,
Wpisuje w xięgę niebieskiéj rachuby.

Tam, zmarła para kochanków szczęśliwych
Dzielących wzajem przeszkód zapomina,
Wita się s sobą w uniesieniach tkliwych,
I pocałunkiem ślub duszy zaczyna.

X.

Jakież ja dziécko! gdy moja dziewica
Czasem odrzuci me prośby natrętne,
I w obojętność ustroi swe lica;
Już z ust jéj lada słówko obojętne,
Pada na serce, i jak kamień ciśnie.
Nudzę sam sobą, uciekam od ludzi,
Aż nim z mych oczu żalu łza wytryśnie
I szał gorącéj rospaczy przystudzi.

Lecz kiedy moja wesoła dziewica,
Zacznie się do mnie uśmiéchać i wdzięczyć,
Ach! gdy w łagodność ustroi swe lica;
Już ja przestaję siebie smutkiem dręczyć!
Zaraz myśl czarna w głowie rozednieje,
I świta gwiazda wesela na czole:
Znów z nią rozmawiam, bawię się i śmieję,
I wciąż jak dziécko swawolę, swawolę.

XI.

Skąpa jesteś w rozmowie, nieliczne twe słowa,
A wszystkie drogie dla mnie! — słów twoich zbiór cały
Pamięć moją w zamknięciu pod swym kluczem chowa,
By czasem w lat kolei z myśli nie zwietrzały.

Była jedna rozmowa, w któréjś mnie mówiła,
«Bądź ze mną jak brat s siostrą jak siostrzyczka z bratém!»
Dusza te słowa w urnę pamięci złożyła,
A tę urnę myśl wieńczy niezabudki kwiatem.

Jak wędrowiec gdy stanie na obcéj mogile,
I dłótem wcięty napis w marmur nagrobowy
Czyta, tak ja w samotną rozmyślania chwilę,
Wypisane na duszy czytam twe rozmowy.

Czytając nieraz w oczach łza mi się zakręci,
A ja czytam, bym więcéj rozżalał się, smucił:
I s pamiątek zdejmuję całun niepamięci,
Który na nie swą ręką sam czas już narzucił.

XII.

DO A**.

Powiédz mi piękna, czemuś zawsze tak wesoła?
Zawsze twarz twą promienią słoneczne uśmiéchy;
Drudzy płaczą, ty nakształt rajskiego anioła,
Nawiedzasz chore serca nadzieją pociechy!
Wpół ziemska, wpół niebieska, s piérwszego spójrzenia
Zdajesz się być królową ze sfer urojenia,
Gdzie wszysko jest duchownem, prócz że w ziemskie ciała
Śmiertelna wyobraźnia swe twory ubrała.
Snać jeszcze w złotém paśmie twoich dni s powicia
Troska ci nieszczerniła żadnéj nitki życia:
Wesołość twoja, nakształt promienistéj tęczy,
Blaskiem myśli pogodnych twoje czoło wieńczy.
Ty, jak wróżka przez morskie żeglująca wody,
Gdy burze fale pienią, gdy gra grzmot na niebie,
Skinieniem laski karci burze, niepogody,

Uśmiéchając się smutki odpędzasz od siebie.
Jest jedna myśl o śmierci bolesna, dręcząca,
Co jak zły wróg wciąż idzie śladami człowieka;
Lecz i ta, jak ptak nocny przed oczyma słońca,
Ukrywa się przed tobą, i krąży zdaleka.
Jak miło być przy tobie! — szczęśliwa istoto,
Patrząc na ciebie serce żegna się s tęsknotą!
Nieraz mój czarny smutek i wesołość twoja,
Jako chmura ze słońcem s sobą się spotyka;
Ty się śmiejesz, i zaraz mniéj smutna twarz moja,
Rozjaśniona od twoich uśmiéchow promyka.
Już tęskną duszę mogę rajska słodycz poi,
A chmura smutku mego, coraz, coraz mniejsza,
Coraz weselszéj barwy, coraz mniéj ciemniéjsza,
Błyszczy odbitém światłem wesołości twojéj!

Lecz samotny, gdy myślę i marzę o tobie,
Gdym ci te rymy składał, pomyśliłem sobie!
Czém jest moja wesołość? — błyskawicą chwili,
Gwiazdą co przebić chmurę daremnie się sili;
Lub nocnym meteorem, który śród ciemnoty
Razem z nieba na ziemię deszcz sprowadza złoty:
Lecz po chwili jak widmo przepada w obłoku —
I tylko podróżnemu zwiększa ciemność w oku!

XIII.

«WSZĘDZIE JEST DOBRZE, LEPIÉJ MIĘDZY SWÉMI.»

Świat ten żyjących tak wielki, szeroki,
Że na nim granic naszym celóm nié ma!
Tak różne sceny, tak różne widoki,
Po drodze życia zajmują pielgrzyma.
Przecież znudzony, po długim obiegu,
Jak łódź po burzy stęskniona do brzegu,
Mówi, gdy stanie już na swojéj ziemi,
Wszędzie jest dobrze, lepiéj między swémi!

Nie jeden wirem pochwycony świata,
Swojéj rodzinnéj zapomniał ustroni;
Myśl jego ciągle lecąca, skrzydlata,
Z motylą żądzą za uciechą goni.
W końcu zrażony w kilku lat kolei
Dosytem uciech, obłudą nadziei,
Nieraz pomyśli, bawiąc się z obcémi,
Wszędzie jest dobrze, lepiéj między swémi!

Ten się rad w szrankach ubiega honorów,
By imie dzwignął s pod gminnego piasku:
I całe życie czepia się u dworów
Lecz ten meteor zwodniczego blasku,

Co swoiém światłem tak lśnił jego oczy,
Gdy znów go piérwszą ciemnością zamroczy;
Wyzna, znużony trudami próżnémi,
Wszędzie jest dobrze, lepiéj między swémi!

Błogi! kto żyjąc w swoim własnym domu,
Imie kochanki zamienił na żony;
Kto mając myśli swe powierzyć komu,
Był drugiém życiém w dzieciach odrodzony.
Ten z domowego szczęśliwy ukrycia,
Patrzy spokojnie na ocean życia;
Smieje się z burzy, i mówi z drugiémi,
Wszędzie jest dobrze, lepiéj między swémi!

Lecz gdy śmierć lube zabierze osoby,
Wdowi, samotny na tym wielkim świecie;
Gdy z duszy ciężkiéj nie zdjąwszy żałoby,
Umiera z żalu w samym wieku kwiecie!
Taki przed siebie patrząc, nie za siebie,
Konając duszą zatapia się w niebie:
I jeszcze woła ustami skrzepłémi,
Ach! tam mnie będzie lepiéj między swémi!»

XIV.

WIECZOR.

Nudzą mię swą rozmową moi towarzysze,
Mówią do mnie, ja tylko udaję że słyszę;
Za odpowiedź im uśmiech na twarzy wymuszę,
A tymczasem w dumania pogrążam mą duszę.
Ci zimno, choć mię widzą tak samotnym w tłumie,
Pytają, czym nie chory? a nikt nie rozumie!
Jakże czasem gwar ciżby nieznośny dla ucha,
Gdzie wszyscy zda się mówią, a nikt ich nie słucha.
Jeden prawi serdeczne, ów kartowe dzieje,
Jeden ziewa słuchając, a drugi się śmieje.
Ten ssąc dymy s cybucha łokciem o stół wsparty,
Razem z dymem wypuszcza z ust szczypiące żarty;
I rad, że śmiéch wzbudzając, lub wesołą wrzawę,
Dymem siebie zaczernił, żartem drugich sławę.
Początek był rozmowy o deszczu, pogodzie,
O wojnie zadunajskiéj, o żurnalów modzie.
Wtém jeden s ciżby, niby to czuły kochanek,
Wzdychał, i chwalił piękny majowy poranek.
Jak to miło oddychać wonią kwiatów zrana,
Lub s tych kwiatów, gdy jeszcze śpi czyja kochana
Na dzieńdobry jéj okno ubierać w bukiety:
Wkońcu dodał, przełknąwszy ostatnie niestety!
Jak to miło w poranek budzić się na łowy,
I skończył przechwałkami mysliwéj rozmowy.

Drugi, którego tylko myśl uczta zatrudnia,
W wymownych słowach porę wychwalał południa;
I zbliżywszy się do mnie zadał mi pytanie,
Jaka porę dnia wolę? — zmilczałem me zdanie,
A pomyśliłem w sobie, najmilsza mi pora,
Błogosławione szare godziny wieczora!
Bo wszystkie myśli moje wesołe, marzące,
Jak zmrokiem nocne ptaki na światło lecące,
Krążą przy nich; — zwabione blaskiem przypomnienia,
Zawieszają nad niemi skrzydło zamyślenia.
Pamiętam! ile razy z moją lubą byłem,
Pobyt mój na wieczory nie na dni liczyłem.
Nieraz rano, gdy znajdę ją z gośćmi w salonie,
Niosąc moje dzieńdobry, grzecznie się jéj skłonię;
I ona rano więcéj zimna, czy nieśmiała,
Obojętnie mnie wita, jakby mię nie znała:
Ani mię spyta, jaki sen téj nocy miałem,
Czy marząc, może o niéj choć przez sen myślałem?
Wzajem jéj podobnego nie śmiem dać pytania,
Ona, jakby w godzinach piérwszego poznania,
Grzeczna tylko, lecz zawsze ode mnie zdaleka,
Od rozmów moich stroni, od spójrzeń ucieka.
Choć jéj wdzięki tak silnie duszę mą tyranią,
Ja dzień cały przemilczę, lub przepatrzę na nią.
A tak w nadziei dziennych uciech zawiedziony,
Smucę się, i dzień cały już mam za stracony.
Lecz gdy nadpłynie szara godzina wieczora,
Z lichwą dnia nieużyta wypłaca się pora:

Jam w niéj śmiały, wesoły, i moja kochana
Więcéj zda się być śmielszą, weselszą niż zrana.
Wieczorem żywszy szkarłat czerwieni jéj lica,
Wieczorem lśni w jéj oczach żywsza błyskawica.
Jak ciemność, gdy po słońcu zajmie tron na niebie,
Nowe, błyszczące ciała wyprowadza s siebie,
W dzień obce, niewidziane na nieba przestrzeni,
Tak jéj piękność wieczorem mocniéj się promieni.
I jakby już z gwiazdami sympatyczną była.
W dzień się kryje, by jaśniéj wieczorem świeciła.
Wieczorem wciąż się śmieją usta jéj różowe,
Wieczorem dłuższą ze mną prowadzi rozmowę:
Wieczorem — przypominam! był to wieczor błogi,
Po raz piérwszy mnie ona nazwała «mój drogi!»
Dzwięk tych słów, jak zegaru bijąca godzina,
Co chwilę, co pół chwili mnie się przypomina.
Czemuż, gdy w myśli lubię powtarzać ich brzmienie,
Jak druga tarcza słońca, przeszłości wspomnienie
Rzuca tylko cień smutku na kompas pamięci?
Boli nas to co przeszło — przecie mimo chęci
Przeszłością często dusza orzeźwia się chora,
Gdy przypominam szare godziny wieczora!
Wieczorem — chciałem daléj o wieczorze marzyć,
Wtém jakiś mi natrętnik jął do ucha gwarzyć,
Pytając wciąż mię, czegom taki zamyślony?
Spójrzałem nań — on zimną złością zaprawiony
Śmiéch na ustach przygryzał — gdy wtórzył pytanie,
Spać mi się chce, ziewając odrzekłem mu na nie.

Zemściłem się, skłamałem — bo od snu daleki.
Cały w myślach nie czułem ciężącéj powieki.

Już dobranoc mi dają moi towarzysze.
Odeszli — gwar ich rozmów jeszcze w uchu słyszę.
Spać idę, przeczuwałem na myślach noc całą,
Aż w dumaniu usnąłem gdy już rozedniało.
Spiąc nawet, nim nadeszła przebudzenia pora,
Błogosławiłem szare godziny wieczora.

XV. (*)

Gdybyś ty była moją — wszystkie bym ci skarby,
Powietrza, ziemi, wody, podesłał pod nogi,
W różne ognie kamieni, w różne kwiatów farby,
Ustroiłbym dla ciebie przyszłe życia drogi.

Dla mnieby tchem ust twoich oddychały kwiaty,
A dla ciebie zdrój moje szemrałby westchnienia;
Gwiazdyby nam świeciły jak miłości światy,
Gdziebyśmy pośli razem sprawdzać swe marzenia.

Gdybyś ty była moją — różę najwonniejszą
Z ogrodu wyobraźni uszczknąłbym dla ciebie!

(*) Naśladowanie z Moora.

I z muzyki roskoszy nótę najpiękniejszą
Grałbym ci, nim podobnéj pójdziesz słuchać w niebie.

Co tylko użyć może roskochanych dwoje,
Czem się tylko na ziemi czułe serca poją;
Wszystko na twe roskazy miałabyś jak swoje,
Gdybyś tylko o luba ty być chciała moją.

XVI.

NOC BURZLIWA.

Grzmot, błyskawica! gdzie spójrzę, pioruny
Z za chmur wstęgami ognistemi wieją;
Niebiosa błyszczą jak pożarów łuny,
A wciąż na ziemię potop światła leją.

Blask bije w oczy, ja na blask spozieram!
Wtém świat otchłanie ciemności pochłoną;
Ja znowu oczy na ciemność otwieram,
I budzę w sobie myśl już rozmarzoną.

A w rozmarzeniu dumać jest najmiléj,
Grzmot, błyskawica, północna godzina!
Gdzieś moja lúba może śpi w téj chwili?
Może w téj chwili mnie we śnie wspomina?

Jeśli wspomina! piorun co tu głuszy,
Niech jéj roskosznych marzeń nie przerywa;
Serafów pieśnią niechaj gra w jéj duszy,
By śpiąc o niebie marzyła szczęśliwa!

Niech ta rażąca wzrok mój błyskawica,
Jak oblask światła ponad świętych głową,
Tylko jéj senne opromieni lica,
I znów niech wraca razić mię na nowo!

Spójrzę! aż niebo ogniem się oblało,
I strumień światła rzucił się w noc ciemną:
Jak gdyby duchy swoję jasność całą
Brzeg okna nieba wylały nademną!

Coż to znów błyska na nocy żałobie?
To piorun chmurę na dwoje rozdzielił!
Gdyby ten piorun, pomyśliłem sobie,
Znalazł mię przy niéj, i we mnie wystrzelił.

Wtenczas zmuszony usypiać na wieki,
Spokojnie na śmierć szedłbym z jéj objęcia;
Patrzącbym na nią zamykał powieki,
Z nadzieją drugiéj chwili wniebowzięcia!

XVII.

DO K * * *

Piękna skarżysz na miłość! o jakże się boję
Wierzyć w to, co me ucho s twoich ust słyszało!
Jeszcze ty taka młoda! czyliż serce twoje
Tak wcześnie od dosytu przekwitło, zwiędniało?

Młodość twoja, jak xiężyc na nowiu, kwitnąca
Swieżym blaskiem i wdziękiem, swéj nie doszła pełni.
Wierz mi, martwo lśni dla nas blask piękności słońca,
Jeśli nam czczości serca miłość nie zapełni.

Jeśli ciebie łza drugich do litości wzrusza,
Jeśli ci łzy wyciska cudzéj jęk katuszy,
Czemu twoja tak piękna, tak przeczysta dusza,
Nie szuka równie pięknéj, drugiéj takiéj duszy?

Dziś z roskoszą zgaduję powód skargi twojéj,
Są to skutki bojaźni nie miłości wstręty;
Serce twe pragnie kochać, i kochać się boi,
Lęka się, choć pojmuje kochania ponęty.

Serce twoje, jak róża sród wiosny poranka
Nim roskwitnie w słonecznéj południa godzinie,
Czeka tylko, nim promień spójrzenia kochanka
Jak słońce jego pączek w piękny kwiat rozwinie.

XVIII.

Widziałaś śród wiosennéj nocy piękną burzę?
I tę ciszę przed burzą, i ten całun mroku,
Gdy jeszcze piorun, nim on wypadnie z obłoku,
Jak myśl nieobjawiona w swojéj drzémie chmurze.

Słyszałaś-li hymn burzy, tę muzykę grzmotów?
W któréj rospacz podoba z łzawémi oczyma:
Gdy świst wiatru, szum deszczów, śród ciągłych łoskotów
Łamanych drzew, gór echa, wtór jéj wielki trzyma.

Jest to chwila rozmowy nieba s przyrodzeniem!
Gdy ziemia się otoczy mrokami ciemnémi,
Wtedy niebo namiętne piorunem, płomieniem,
Objawia swoję miłość, i kocha się w ziemi.

Ziemia mu odpowiada — góry, lasy, pola,
Wody szumią, wrą, huczą, głos s siebie wydają.
Wtedy cała natura jest arfą Eola,
Któréj strony wzruszone same drżą i grają.

Dziś o luba! gdy miłość mą tłumaczę tobie,
Gdy myśli tak ogniste, tak wrzące w méj głowie,
Stygną mi w ustach ledwo oddane w połowie;
Obym miał język nieba! pomyślilem sobie.

Wtedy ustną wymową nie męczyłbym siebie,
Z błyskawicą, s piorunem przyszedłbym do ciebie!
Tego głosem w twe ucho wlałbym słów mych zdroje,
A tamtąbym zapalił zimne serce twoje.

O! wtenczas serca nasze, jak dwa bliskie drzewa
Które ognie piorunu zatliły, objęły,
Aż nim śmierć oddech życia z naszych ust pozwiewa,
Wciąż niebieskim płomieniem tlałyby, płonęły.

XIX.

ENTUZIASTKA.

Myśli moja, niebo moje!
S pełném czuciem młodéj wiary,
Gdym raz pierwszy dotykała,
Złotych brzegów życia czary;
Myśli moja, włókna twoje,
Tak promienne, tak tęczowe,
Jam wyprzędła, i związała
W rajską marzeń mych osnowę.
Ach! nie z ziemskich brane wzorów;
Wdzięk miłości i przyjaźni,
Najpiękniejsze z ich kolorów,

Wszystko w jednę całość zlałam,
Jeszcze do nich przymieszałam,
Malowidła wyobraźni.

Duszo moja, lutni moja!
Jak łza z oczu wydobyta,
Gdy się słodko chwilę prześni.
Jak najczystsza nóta pieśni,
Co się zaraz w tóru chwyta;
Tyś tak łatwo brzmiała, lgnęła
Do kamiennéj piersi ludzi!
Czemuż dziś w niéj nóta twoja
Drugiéj nóty nie obudzi,
S którąby się zlać pragnęła?

Były lata, dni szczęśliwe,
Gdy w mém sercu upojoném,
Melodiją był świat cały!
Gdy mi wszystkie dusze tkliwe,
Jednym dwzięk iem, jednym tonem,
Tonem moiéj duszy brzmiały.

Serce moje, piekło moje!
Jak gadzina rozdrażniona,
Gdy się w liczne skręca zwoje;
Gdy snów swoich nie sprawdziło,
O swym raju, o swém niebie,
Z bolu, żądłem skorpijona

Skaleczyło, i zabiło,
Ach, zabiło same siebie!

Dziwne moje losy były!
Co me serce ukochało,
Co me oczy polubiły;
I do czego duszą całą
Byt swój wlałam, i wcieliłam,
Wszystko marło, lub więdniało.
Raz ja ptaszka polubiłam,
Ptaszek śpiéwał mi piosenki,
To wypijał z ust mych wodę,
To brał pokarm z mojéj ręki:
My jak dwa gołąbki młode,
Rozumieliśmy się jedni!
Ptaszek chudniał — skonał w jęku,
Kwiatek więdniał w moiem ręku,
Wprzód nim wplotłam go w mój wianek.
Ach, miłością moją biedni
Ptaszek, kwiatek, i kochanek!
On mi oddał serce swoje,
Lecz swéj ręki dać nie może.
Jam już za nim, cóż pomoże?
Wypłakała oczy moje.

Drudzy ludzie ślą mi swaty,
Chcą, by drugi, że bogaty,
Dziś mię ślubnym darzył wiankiem.

Biedne moje serce, oko!
Chyba w niebie, tam! wysoko,
Zaślubiemy się s kochankiem.

XX.

Gdyśmy się poznawali
Grzecznie, obojętnie,
Czyśmy się spodziewali
Kochać tak namiętnie?
Twój wdzięk co drugim władał,
W przód był bez wrażenia;
Zimno blask na mnie padał
S twych oczu promienia.

Raz gdysmy cóś mówili,
Tyś na mnie spójrzała!
I wzruszona w téj chwili
Dusza ma zadrzała.
I jakoś wpół niechcące
Żądze mię objęły;
Serca żywiéj bijące
Zatlały, płonęły.

Długo dobrze nam było!
Szczęście zawiść budzi;

Drugim w oczy to biło,
Zle nam od złych ludzi.
Ach, jeszcze nie dość na tém!
Języki zbyt czynne,
Okłamały przed światem
Twe serce niewinne.

Dziś przed ludźmi sam w siebie
Miłość zamknąć muszę;
Że przylgnęła do ciebie,
Przeklinam mą duszę!
Świat położył nam tamy
Kochać się namiętnie;
Jakże się dziś spotkamy? —
Grzecznie, obojętnie.

EPILOG.

Kwitną róże na dolinie,
Śród zielonych łąk jedwabi;
Lecz przy jednéj blask ich ginie,
Jedna tylko wzrok mój wabi.

Tam, na niebie gwiazd tysiące
Brylantowym ogniem płonie;
Wszystkie równie pałające,
Ja za jedną okiem gonię.

Z gór swawolne pienią zdroje,
Gdzie płaczące brzozy stoją,
Pochyliwszy urny swoje,
Zwiędłe usta kwiatow poją.

I ja niegdyś, cóż s téj chluby?
We wzajemnym serc zachwycie,
S płomienistych oczu lubéj,
Piłem miłość, piłem życie.

Dziś na niebie takie burze!
Gwiazdy w chmurach potonęły,
Róże w gajach przekwitnęły,
Tylko brzęczy zdrój na górze.

Dziś i w sercu równie ciemno!
Gdzież westchnienia me polecą?
Darmo patrzę, już przedemną
Gwiazdy oczu jéj nie świecą.

I młodzieńczych uczuć kwiaty,
Coraz częściéj więdną, giną.
Znikły piękne marzeń światy,
Tylko łzy jak dawniéj płyną.

PIERSZE RÓŻNE.

OCZEKIWANIE

s Szyllera.

Ktoś drzwi zatrzasnął powoli,
Coś zlekka klamką zadzwoni;
Nie — to wiatr wiejąc po błoni,
Świegoce w listkach topoli,
Strójcie się drzewa, piękne zieloném sklepieniem,
Promieniejącą wdziękiem przyjmcie pod swe dachy;
Wy gałęzie, budujcie nieprzejrzane gmachy,
S cichą nocą przyjaznym opaszcie ją cieniem!
Powiejcie wdzięczne wiatry! to pochlebném wianiem,
To swawolném jéj usta pieszcząc całowaniem;
Ach wierzcie mi! piękniéjszych nigdy kształtów ciała,
Ani kształtniéjszéj nóżki miłość nie widziała.

Cicho! z gaju ktoś tu kroczy,
Jéj-li to bieg tak ochoczy?
Nie — to tylko strach z za krzaka
Jakiegoś wypłoszył ptaka.

O słońce! zgaś twe ognie, sam tu nocy wdzięczna!
Niech twój mrok tylko światłość rozświéci miesięczna:
A gdy nas drzew pokryją gałęziste sklepy,
Rozwiń koło nas swoje purpurowe krepy.
Bo miłość od czujnego zwykle stroni ucha,
Ona ma natrętnego świadka w dnia promieniu:
Jéj tylko powiernicą może być noc głucha,
Ta jéj wszystkie skrytości przechowa w milczeniu,

Onaż to ona mię woła?
Zabrzmiało echo w oddali?
Nie — to jest łabędź co płynne koła
Po srebrnéj zatacza fali.

Jeszcze brzmią harmonijne strumienie ogrodu,
Tam lecą wodotryski s pieniącą się wodą;
Spragnione kwiaty piją wilgoci zachodu,
Wszystko co żyje nocną rzeźwi się ochłodą.
Tu winograd swym cieniem blask miesięczny tłumi,
Owdzie wiśnia dojrzalsza między liściem szumi:
A powietrze zaprawne wonią, chłodném tchnieniem
Studzi mi żar na ustach spalonych pragnieniem.

Słyszę, słyszę krok jéj chodu,
W drzewach liście zaszumiały;
Ach nie! — to owóc przejrzały
Spadł z drzewa w głębi ogrodu.

Topiąc się w słodkiéj śmierci powoli zagasa
Płomieniste dnia oko, blednie jego krasa:

Już skromne kwiaty którym, przykre słońca żary,
Na wpół roskryte nocy mrok otulił szary.
Xiężyc s promiennem czołem cicho wóz swój toczy,
Świat się w mgłach topi w kształcie wielkiego obłoku;
I noc ze wszystkich wdzięków zdjęła pas uroku,
A każda piękność nagą staje mi przed oczy.

Widzę, widzę śnieżny rąbek,
To pewno jéj biała szata!
Ach nie! — to tylko biały gołąbek.
Wzdłuż ciemnych ulic przelata.
O i czemuż im dłużej myśl ma za nią goni,
Tém więcéj sam obrazy urojone mnożę?
Ja zamiast jéj czcze mary w méj uściskam dłoni.
Lecz mię żaden cień szczęścia nakarmić nie może!
Obym ją samą widział tu, śród téj dąbrowy,
Obym mógł czuć jéj uścisk, mógł jéj widzieć wdzięki,
Wreście, choćby najmniejszy rąbek jéj sukienki!
Kiedyż mi w rzeczywistość przejdzie sen jałowy?

Aż wtém, jak rychło z niebiós czekana
Godzina szczęścia zabłyśnie,
Ku mnie się zbliży — i niewidziana
W swych mię objęciach uściśnie.

NADZIEJA

s Szyllera.

Ludzie i mówią, i marzą wiele,
Lepszość dni przyszłych rojąc s powicia:
Ci jak na fali, w żegludze życia
Płyną, i gonią szczęśliwsze cele.
Świat raz sstarzały znowu młodnieje,
Człek zawsze lepsze karmi nadzieje.

Ta u bram życia wskazuje mu wieńce,
Ona jak cacko igra przy piastunie;
Jéj czarodziejski blask ślepi młodzieńce,
Z nią i zgrzybiałość zamyka się w trunie.
Bo choć do grobu sstępuje s kolei,
Jeszcze na grobie szczepi kwiat nadziei.

O! ta myśl nie jest zwodnicza i dzika,
Wylęgła gdzieś tam na mozgu wietrznika!
W sercu przeczucie objawia się wieszcze,
Że Bóg na lepsze utworzył człowieka.
Ciało okrzepnie, życie ucieka,
Żyjąca dusza spodziéwa się jeszcze!

MIŁOŚĆ I ROSSĄDEK

z Moora.

Qnand l'homme commence a raisonner il cesse de sentir.

J. J. Rousseau.

Było to latem, najpiękniejszą dobą,
Gdy już dojrzałe i serca i kwiaty;
Raz w rzadkiéj zgodzie, w progu wiejskiéj chaty,
Miłość, Rossądek spotkali się s sobą.

Ranek był piękny, słońce nie wysoko.
Miłość, Rossądek chodzili oboje;
Rossądek idąc cóś myślił głęboko,
A Miłość sny mu powiadała swoje.

Lecz lekka Miłość biega, to swawoli,
Ciężki Rossądek nieufny swéj nodze,
Jak druga Juno stąpając powoli,
Cień długi rzucał za sobą po drodze.

Nic dziw, że idąc za Rossądku cieniem
Miłość na zimno skarzyć się poczyna;
Choć słońce lśniło palącym promieniem,
Przeziębnął cały skrzydlaty chłopczyna.

Próżno skrzydłami to zamiatał trawy,
To zwinne w locie motyle uganiał;
Rossądek cieniem olbrzymiéj postawy
Przed nim jak na złość twarz słońca zasłaniał.

To być nie może!» miłość z gniewem rzekła,
Słońce nie dla cię jednego stworzone;
Bądź zdrów!—» i zlekka poskoczywszy w stronę
Co prędzéj w gaje mirtowe uciekła.

Rada s swobody Miłość się uśmiécha,
Biega po łąkach, kąpie się w strumieniu;
To żądzą w każdym powiewie oddycha,
To pije roskosz w słonecznym promieniu.

Wszystkie dąbrowy i wszystkie ogrody
Psuje, pustoszy, swawoli do zbytku;
To zrywa kwiaty, owoce, jagody,
Potém swawolna choruje s przesytku.

Lecz gdy na niebie już promienie słońca
W południm blasku pomknęły się daléj,
Niestety! Miłość omdlała z gorąca,
I krew w jéj żyłach płomieniem się pali.

We mgle omdlenia zagasa źrenica,
Uśmiech już więcéj nie krasi jéj lica:
Gdzież jest Rossądek, coby ją swym cieniem
Zakrył przed słońca palącym promieniem?

Któż się jéj teraz użali męczarni?
Gdzie rosną letnie palmowe drzewa,
Pod niémi leżał Rossądek na darni,
A wiatr mu czoło swym chłodem obwiewa.

«O daj mi teraz przed skwarem zachronę!»
Prośba Miłości Rossądek roszczula:
Rzezwiąc jéj usta gorączką spalone,
Do zimnéj piersi wnet Miłość przytula.

Ledwo zimnego dotknęła się ciała,
Krew w niéj zakrzepła, i serce nie biło.
Niestety! zimno już zbyteczne było,
Miłość na łonie Rossądku skonała.

MONOLOG

s Fausta (*)

Duchu! ocom ja błagał, com ja chciał posiadać,
Wszystko mi dałeś, nie wzgardziłeś niczem.
Nie darmo płomienistém błysnąłeś obliczem!
Rzekłeś, panuj naturze! chciéj ją na skróś zbadać,
Weź moc do jéj uczucia, siłę do użycia;
Wnet nie s chłodną uwagą, s całym ogniem życia
W jéj licu niezbadaném czytając zwyczajnie,
Jak w serce przyjaciela spójrzałem w jéj tajnie.
Ty przedemną żyjące wywodzisz postaci,
Tyś mi dał poznać wszystkie mieszkające rody,
Po przestrzeniach powietrza, i w otchłaniach wody.

(*) Umieszczamy tu w przekładzie wyjątek, z jednéj z najsławniéjszych produkcyi Getego, s trajedyi Fausta. — Faust przesycony miłością Margerety, jednéj skromnéj wiejskiéj dziewczyny, znudzony ciągłą szatańską ironiją Mefistofelesa, szuka rostargnienia. Uczęszcza do rozmaitych towarzystw. — Wkońcu, nie mogąc znaleść pokoju w sobie, na wszystko wyrzeka. Nie piękniéjszego w oryginale czytać nie możemy, jak ten Monolog, w którym Poeta zarazem entuzyjazm nauki i przesycenie uciech wyraża.

Badam w nich byt mój własny, widzę moich braci,
A gdy w lasach zawyje Uraganu słota,
I letnie sosny, dolin urodziwe córki,
Łamiąc jedne po drugiéj wicher podruzgota,
A ich upadkiem zagrzmią okoliczne wzgórki:
Ty mię wówczas do bliskiéj uprowadzasz groty,
Tam to sam w sobie badam mojéj treść istoty.
Wówczas myśl ginąc w niebie, drugie niebo roi,
I niezgadnione cudo zgadam w piersi moiéj.
A gdy xiężyc z za chmury rzuci blask nieśmiały,
I s poziomej zarośli, i górzystéj skały,
Wnet usrébrzoną szatą przeszłość mię osłania,
I swą barwą łagodzi surowość dumania.

Lecz doskonałość nie jest udziałem człowieka,
Czuję to, im się daléj moja myśl zacieka.
Przecz w téj roskoszy, która zbliża mię do Boga,
Mam cierpieć towarzystwo tak zimnego wroga?
Poniżony sam w sobie, ciągłą karmiąc trwogę,
Dłużéj znosić go nie chcę, wzgardzić nim nie mogę.
On to wszystkie twe dary zlane mi przez ciebie,
Jedném słowem, skinieniem jedném w nicość grzebie.
On pożar dzikich ogni wrzucił w serce moje,
Abym gorzał, dziewczyno wielbiąc wdzięki twoje!
Tak żądzą i dosytem upojeni błądzą,
Z żądzy rzucam się w dosyt, i tęsknię za żądzą.

BÓG I BAJADERA

INDYJSKA LEGENDA

z Gotego.

Bóg Mahadoch, mocarz ziemi,
Po raz szósty z nieba schodzi;
Jak człek z ludzmi się obchodzi,
Troski radość dzieli z niemi.
Wszystko poznać jął się starać,
W nim współczucie ludzkość budzi;
Kto nagradzać chce i karać,
Niech po ludzku widzi ludzi.
On nieraz śród miasta jak pielgrzym przebywał,
Po pańskich pałacach, po domach szpiegował;
Raz gdy mrok wieczorny niebiosa pokrywał,
Wychodził za miasto, i dalej wędrował.

Gdy ostatnie mijał domy,
Spotkał dziewczę na ulicy;
Witaj! prawi do dziewicy, —
Witaj piękny nieznajomy!

Wróć się! na noc już się zbiera,
Wróć się! dom ten cię ugości, —
Kto ty jesteś? — Bajadera —
A ten dom czyj? — dom miłości!
I w lutnię do tańca uderza dziewica,
I w tańcu jéj stopa tak lekko pływała;
Zwinnością swych kształtów młodzieńca zachwyca,
I bukiet mu z wdzięcznym ukłonem podała

Zalotném okiém i słowy
Wabi, i mową przyjemną
Zaprawia uśmiech cukrowy.
Piękny gościu spocznij ze mną!
Skromną chatką nie gardź dumnie!
Daj znużonéj spocząć nodze.
Co chcesz? cichy sen po drodze,
Żarty, roskosz znajdziesz u mnie.
I pilno go rzeźwi, i skutkiem współczucia
Litośne jéj piersi westchnienia podnoszą:
Bóstwo się uśmiécha, i widzi z roskoszą
Jeszcze ludzkie serce w przepaści zepsucia.

Już dzień mijał jeden, drugi,
Dziéwcze gościem zachwycona,
Wszystkie spełnia mu posługi,
Ciągłym trudem nie zrażona.
S kwiatu owoc wnet dojrzeje,
Cała w myślach się zacieka;

Pierś jéj czystszém czuciem tleje,
Już i miłość nie daleka!
Mahadoch na różne rzuca się sposoby,
By snadniéj mógł zajrzeć w głąb serca dziewicy;
Choć ostro, przez wszystkie doświadcza ją proby
Roskoszy, i trwogi, i srogiéj tęsknicy.

Ledwo w usta ją różowe
Pocałował, już drzy cała,
W piersi ognie czując nowe;
Po raz piérwszy zapłakała.
To naprzemian w zachwyceniu,
Czerwieniała, to znów bladła,
I w miłośném rozrzewnieniu,
We łzach do nóg mu upadła.
Wnet kryjąc w swéj dłoni lica zaplonione,
Wytkaną z jedwabi i s ciągłego złota,
Nad łożem co prędzéj rospięła zasłonę,
Czynnych jéj godzin najmilsza robota!

Ledwo błysnął świt poranny,
Już się budzi, łzy w jéj oku:
Patrzy! — ach, to jéj kochany
Leży martwy przy jéj boku.
Cóż mu wrzaski jéj poradzą?
Już go ujął sen głęboki,
Już młodzieńca martwe zwłoki,
Na płonący stos prowadzą.

I słyszy kapłanów ich pieśni pogrzebne,
A skargi jéj biją o chmury podniebne;
I tłumy potrąca, a tłum jéj urąga
Kto jesteś? co ciebie na stos ten pociąga?

Pyta tłumu pogrzebnego,
Płacze, włosy rwie na sobie;
Ach! oddajcie męża mego,
Ja go pójdę szukać w grobie.
On był moim — dzisiaj biedna,
Skarżę, płaczę przy mogile:
Jak te prędko przeszły chwile,
I noc słodka tylko jedna!...
Brzmią chory kapłanów — » i młody i stary
Od śmierci nie umknie, śmierć jedna dla obu.
My starość zgrzybiałą kładziemy na mary,
My młodzież kwitnącą prowadzim do grobu!»

Wzruszon kapłan łzą jéj szczerą,
Wierz! jéj rzecze, słowóm moim;
Żyj, jak żyłaś Bajadero,
Żyj! on nie był mężem twoim.
Przecz się w żalach myśl twa błąka?
Tylko cień za ciałem chodzi;
Tylko żonie dla małżonka,
W kraj umarłych wejść się godzi.
Uderzcie więc w bębny! niech zabrzmi chór cały!
Nim gwiazda wieczorna zabłyśnie na niebie,

O przyjmcie Bogowie kwiat wieku zwiędniały,
O przyjmcie w płomieniach młodzieńca do siebie!

Już się choru pieśń kończyła,
Obłąkana Bajadera,
Na płonący stos poziera,
I w gorącą śmierć skoczyła.
Wtém Bog-młodzian lotem błysku
Nad płomienie się podnosi,
I dziewicę w swym uścisku,
Przez powietrzny szlak unosi.

S poprawy grzesznicy Bóstwo się raduje,
I boskie z obłoku odsłonił jéj lice.
W ognistych objęciach trzymając dziewicę,
Z najczystszą, z najmilszą ku niebu wzlatuje.

DO GRĄJACYCH SYBILLE.

Siostry Sybille, w królewskich obsłonach,
Przeszłość i Przyszłość zasiadły na tronach:
Niemc, milczące, jakby z gwiazd promienia
Zleciał na usta ich anioł milczenia.
W oczach ich święte natchnienie się żarzy,
Jak na pogodnéj męczennika twarzy,
Gdy duszą z ognia ku niebu ulata.
Rzekłbyś, że obie z Genijuszem świata
O losach ludzi prowadzą rozmowy.
Bogaty turban ukwiecił ich głowy,
Jak rożnowzory zawój tulipana.
Ni to na płótnie grupa malowana,
Tchnąca pełnością i życia i wdzięku:
Obie s xięgami, jedna s piórem w ręku,
W jedne swe Przyszłość wróżby wpisywała,
Na drugich Przeszłość wpisane czytała.

O piękne wróżki! patrząc na was obie,
Wpół rozmarzony pomyśliłem sobie:
Kto całe życie obecnością żyje,

Taki nie długo s czary szczęścia pije.
Teraźniejszości, już mi cię nie trzeba!
Jak duch zamknięty pomiędzy dwa nieba.
Na Przeszłość Przyszłość patrzałbym naprzemian.
I tak patrząc, najszczęśliwy z ziemian,
S kwiatow nadziei, i s przędzy wspomnienia,
Snułbym wciąż złote, tęczowe marzenia,
Ażby, co bogdaj kiedy się ziściło!
Całe me życie jedną tęczą było,
Jedną Irydy promienistą łeską,
Zmienną, ulotną, lecz ach, jak niebieską!

W IMIONNIKU PANI S. B.

Miło jest wybranemu po wzajemnéj chęci,
W poświęcone przyjaźni zapisać się karty:
Lecz ten u mnie zawiści i niebiańskiéj warty,
Kto się sercem w przyjaźnéj zapisze pamięci.

Bo gdy nas tu wiążący łańcuch się roskruszy,
Gdy się przeszłość zagrzebie w gruzach zapomnienia;
Jeszcze słońce pamiątek wschodzi w naszéj duszy,
I jak lampa przyświeca we mgle oddalenia.

EPILOG

DO IMIONNIKA LUDWIKI R....

Jest czarodziejska skrzynia, jak mię wieść poucza,
W któréj błyszczą kosztowne pamiątek kamienie;
Skrzynia ta jest pod strażą twéj pamięci klucza,
A każdy kamień ciska słoneczne promienie.
Gdy Pani spójrzysz na nie, jak jéj wspomnieć miło
Że słońce dni weselszych nad niemi świeciło!
Dziś po jego zachodzie, dawnémi ogniami,

Dawnem światłem wesela każdy głaz jaśnieje;
Każdy promień z nich wyszły, złotemi głoskami
Wypisałby ci piękne twéj przeszłości dzieje.
Skarb ten składali Pani Litewscy poeci,
Złóż i mój prosty kamyk w tym kosztownym zbiorze
Śród pereł i brylantów; — i mój kamyk może
Odbitym od ich blaskiem w oczach twych zaświeci?

W IMIONNIKU DOKTORA M.

Dalibóg! a toć cudo! album u doktora.
Snać go, jeśli mam wierzyć, jakaś piękna chora
Darowała ci, wpadłszy w gorączkę miłości;
Widziałem ja tysiączne albomy Piękności!
Są to xięgi trofeow. — gdy jéj wdzięków czary
Zwojują hołdowników, i serca podbiją,
W nich imiona na kartach, jak w wojnie sztandary
Zdobyte, w zapomnieniu butwieją i gniją.
Na wszystkich jeden napis: «piękne twoje oczy,
Piękne lica, jedwabny twoich włos warkoczy —»
Jam kiedyś był tym jeńcem — wierzaj! dziś mię nudzi
Zbierać kwiaty z drugiemi na jéj pochwał wieńce!
Lepiéj z nowym napisem kartę ci poświęcę,
Żem jedne twoje serce wybrał s ciżby ludzi!

DZIEŃ SĄDNY.

Mamy dwa wzroki: jeden wzrok oczu, zmysłowy,
Sługa przestrzeni, który tyle tylko sięga,
Ile granic obejmie koło widnokręga.
Drugi, teleskop duszy nasz wzrok nadzmysłowy,
Wzrok prorocki. — tym wzrokiem patrząc nie zwyczajnie
Niezgadnione przyszłości pośledzamy tajnie.
Tym wzrokiem na lat tysiąc od dzisiaj widziałem —
Drugie chaos, wstrząśnienie w przyrodzeniu całém.
Dziecinna, młoda, potém męska ludzkość cała,
Nakoniec od starości z wiekami przejrzała.
Ciągle drobnieli ludzie różnych stref, narodów,
Jeśli kto zdziwił kształtem rozroślejszym ciała,
Już do przedpotopowych należał on rodów,
Jako skielet Mamuta. — lecz choć ciałem drobni,
Ludzie stali się myślą sobie niepodobni.
Myśl ich porosła pierzem — człowiek ośmielony
Odebrał ptakóm skrzydła, zbudował balony.
Jak okrętem po morzu niezlękły powodzią,
On sterował w powietrzu latającą łodzią.
Ludzie bez swéj ojczyzny, bracia jednéj ziemi,
S kolei językami mówili wszystkiémi.

Od zrzódeł Orenoki po Fińskie wybrzeża,
Budowała się druga babilońska wieża,
I świat miał jeden język. — wszędzie liczby były,
Liczby w ustach po xiążkach słowa zastąpiły.
Kształt był wszystkiém, a ludzie do tego już przyśli,
Że po abrysach w mozgu wyrabiali myśli.
Wszystkie widzą przedmioty przez szkło wyobrażeń,
Lecz dusze ich ubogie, zabrakło im wrażeń.
Człowiek myślą w pojęciu uczłując do zbytku,
Zarazem na czczość serca chorował s przesytku:
I ci, co już myśléli że żyli, użyli,
Niczego nieużywszy, przesyceni byli.
Tajemniczość kryjąca skiélety, widziadła,
Od twarzy tego świata jak maska odpadła.
A drzewo wiadomości bez owocu stało,
Ludzie wszystkie owoce zeń zdjęli, strząsnęli;
Cały świat był w ich oczach, jak okrzepłe ciało
Przed pogrzebem na trupiéj leżące pościeli.
Lecz wiadomość wszystkiego czynność im odjęła,
Z dosytem nieruchomość w ich głowie spoczęła;
Wszystkie żądze uczucia zamilkły, i ludzie
Niewiedzieli, co począć w téj spokojnéj nudzie?
Z nudy, wsie, okolice gdzie z wieków mieszkali;
Kolebki ich dzieciństwa, ich wspomnień, ich rodu,
Z suchém okiem bez żalu, bez łez porzucali.
I gnieździli się razem śród jednego grodu
Tłumnie, ciasno, jak jakie w skorupie owady.
Po drogach spotykałem podróżne gromady,

Zbytek do miast ich wabił; — męszczyzna, niewiasta,
Dziecię i starzec ciągną do jednego miasta,
Jako korab' Noego przed potopem świata.
Zdało się, że świat stary już kończył swe lata.
W tym wielkim, nieruchomym, kamiennym korabiu,
Ludzie chodzą bogato, w atłasach, w jedwabiu;
Ale twarze ich były wychudłe, wybladłe,
Oczy ich wpół przygasłe na czoło wysiadłe,
Ludzie trupiéj postaci. — śród zbytków, zepsucia,
Ci jeszcze zapomniane kłamali uczucia.
Te się w xiążkach chowały jak numizmat stary.
Stąd powstała zaraza powszechnéj niewiary.
Bliźni bliźniego uczuć sercem nie podziela,
Z ustnéj mowy wygnano wyraz *przyjaciela*,
Kochankowie przed sobą swoję miłość kryli,
Okropne skutki zdrady! — w xiążkach od téj chwili
Widziano same kłamstwa, i xięgi palono,
Xięgi całego świata w wielkich stosach płoną.
Ci co roili sobie nieśmiertelną sławę,
Pocieszali się, szerząc bluźnierstwa i wrzawę,
Że s tych xiążek płonących duch promienny Feba
Genijusze w płomieniach unosił do nieba.
Drudzy widząc w tym ogniu czystą treść żywiołu,
Nic po nich nie znaleźli prócz dymu, popiołu.
Wkońcu zjawił się Upior — dziwne sceny były,
Widziałem! matki swoich dzieci nie mamczyły.
Upior chodził po domach, dzieci im kołysał,
Usypiał ich w kolebce, s spiących krew wysysał

Upior ucztował we krwi: — jeśli w czyje ciało
Swój ząb wraził, gdy komu kroplę krwi wytoczył,
Ten wzajem we krwi drugich swoje usta broczył,
Stąd powstał tłum upiorów; — (*) tych piekło zesłało
Jak gońców potępienia. — Dzikim szałem wściekli
Ludzie kalecząc siebie wzajem się wysiekli.
Grody były bezludne — i wsie, okolice
Wyglądały jak wielkie królestwo pustyni.
Lew król źwierząt porzucił swą leśną stolicę,
I rozgościł się w polach jak w swojéj jaskini.
Wielkie gmachy, pałace świecące zdaleka,
Dzikie źwierzęta w imię zajęły człowieka,
Bo ludzi już nie było — prócz kochanków dwójga;
Ci zostali na miejscu, widziałem obójga.
Wspomnienie ich tak silnie do miejsca wiązało,
Pamięć młodéj miłości. — Tu zielone lata
Ich zżółkły; stąd na resztę obcego im świata
Poglądali, jak z wyspy co morze oblało,
S samotnéj, rajskiéj wyspy: gdzie wciąż kwitną drzewa,
Gdzie pełno kwiatów, zdrojów; gdzie wciąż wiatr powiewa
I w upały południa daje chłód przyjemny,
I w około jéj morze, step błękitno-ciemny.

(*) Upior czyli wilkołek podług podania gminu przychodzi s tamtego świata, wysysa krew dzieci, kaleczy, zabija ludzi: człowiek zraniony lub zabity od Upiora sam zostaje Upiorem. To podanie dotąd zachawujące się w Illyryi jest wspólne wszystkim ludóm Sławiańskim.

Właśnie jakby w zaćmienie zastąpiło słońce,
Mrok był dzienny — powietrze zgęszczone, duszące,
Jak ciężar przezroczysty ciężyło do ziemi;
Wiatr zimny wiał zarazą — z oczyma smutnémi
Oni stali, w rospaczy ręce załamali,
I westchnęli, to s sobą mówili — milczeniem,
Niestety! ich westchnienie powietrze odbiło,
I od wiatru zatrute znów do ust wróciło.
Tak powoli wzajemném trując się westchnieniem,
Rzucili się w objęcia — w objęciach skonali.

Widziałem drugą scenę, — pioruny spadały
Z nieba, i jak umyślnie domy zapalały.
Jeden dóm ogień objął — przez dachów wyłomy
Płomień wpadając wszystko pożerał łakomy;
Szalejąc wiał i sypał na koło iskrami,
To się kłębił i w górę uchodził z dymami,
Ściany wpół dopalone s trzaskiem się waliły,
Jak podrąbane drzewa — szyby się paliły,
Pękały w ogniu. — Jeden tylko koniec domu
Stał cały, jeszcze płomień nie zrobił wyłomu.
Tam pośród małéj, ciasnéj, narożnéj komnaty,
Przy łunie rzucającéj blask na okno kraty,
Siedzącego za stołem widziałem Lichwiarza:
Świéca się dopalała już na dnie lichtarza,
Ładował trzosy złotem — nad stolikiem zgięty,
Brzękiem kruszcu zgłuszony, czy liczbą zajęty,
Nie wiedział o pożarze. — palcami chudemi

Zbierał, ważył dukaty i pieścił się z niemi
Jak dziecko ze swém cackiem. — Jedną sztukę złota
Trzymał, i z niéj pleśń ścierał, a ręka mu drżała.
Snać z rąk jakiéj sieroty wydarł ją niecnota,
Może łza, którą pieniądz wydarty oblała,
S czasem w zamkniętéj skrzyni zastygła, spleśniała?
Zbladł, i pieniądz do trzosa cisnął w oka mgnieniu;
Pleśń ta widać leżała na jego sumnieniu.
W tém ogień wpadł przez okno — patrzałem z uboczy,
Lecz nic widzieć nie mogłem, blask mi raził oczy.
Słyszałem tylko zdala, jak płonąc w płomieniach
Wrzasnął i skonał w długich przeciągłych jęczeniach.

Wylękłe od pożarów ptaki nie latały,
Sępy i kruki głodem spędzone ze skały,
Tylko w chmurach krążyły skrzydłami czarnémi,
Jak gdyby snuły całun na pogrzeb dla ziemi.
Smutny, okropny widok był całego lądu!
Jak ów w Apokalipsis dzień strasznego sądu,
Gdy Pan Bóg rozgniewany na Adama plemie,
Wszystkie siedém czasz gniewu wylał sam na ziemię.

r. 1830 *Petersburg.*

NIEZABUDKA.

Jakiż to błyszczy kwiatek
Na zielonéj murawie?
Mniéjszy on jak bławatek,
A błękitny tak prawie.
To niezabudka!

Pasterz chory na serce,
Samotny, dumający;
Roskochany w pasterce,
Szedł, i zoczył rosnący
Kwiat niezabudki.

I zawoła w zapale,
O gdybym mógł z jéj ręki,
Choćby przez łzy i żale,
Wyżebrać kwiat maleńki,
Tę niezabudkę!

Wtem pasterka przybiegła,
Wita go, i po chwili

Gdy ów kwiatek spostrzegła,
Co prędzéj się nachyli,
Ku niezabudce.

Jak chciał on, tak się stało!
Pasterka kwiat zerwała,
I swą mu rączką białą,
Zrumieniona, podała
Kwiat niezabudki.

Pasterz za dar z jéj ręki,
Słowem, duszą dziękował.
I rumieniąc jéj wdzięki,
Za pas, przy sercu schował
Kwiat niezabudki.

Bądź mi zdrowa! ja w drogę
Dziś jadę wierny tobie:
Zapomnieć cię nie mogę,
Gdy już mam przy sobie,
Tę niezabudkę.

Nie mówili ni słowa,
Rosstali się za gajem:
Lecz ich oczu rozmowa,
Cóś mowiła nawzajem
O niezabudce.

Jeśli kto jaki kwiatek,
W pielgrzyma ujrzysz rękę;
Gdy mniéjszy jak bławatek,
A skromniéjszego wdzięku,
To niezabudka!

DZIEWCZYNA.

(*Piosnka.*)

Wciąż śmiejące się lica,
Oczy jéj nie palące,
Nie, ogniste jak słońce,
Świecą blaskiem xiężyca.
Jakże piękna dziewczyna!

Gdy rozmawia z młodzieńcem,
Co ją kocha, szaleje;
Twarz zakwita rumieńcem,
Wzdycha, czasem łzy leje,
Jakże czuła dziewczyna!

Raz gdy s sobą mówili,
Tak go czule objęła,

Tak go czule ścisnęła,
I tak szczęśliwi byli!
Jak namiętna dziewczyna!

Słodka miłość w młodości,
Cóż, gdy skrzydło niestatku
Godło wdzięku, i kwiatku,
Godło serca, miłości —
Gdzież jest stała dziewczyna?

Znów w miesiąc, wpół miesiąca,
Dla drugiego młodzieńca,
Nie szczędzi łez, rumieńca,
Znów czuła, kochająca,
Jak niewierna dziewczyna!

Serce dała piérwszemu,
A rękę dla drugiego;
I ślubuje drugiemu,
Ach, zabiła piérwszego!
O przeklęta dziewczyna!

MELODIJA IRLANDZKA.

z Moora.

Nieraz na licach wody promień słońca świeci,
Choć spodem ciemna zimna fala wre i pieni;
Nieraz uśmiéch słoneczny twarz nam opromieni,
Choć już serce zbyt chłodne w przepaść zguby leci.

Gdy jedna troska, jedno złowrogie wspomnienie,
Rzuci swój cień na nasze szczęście, jak niedolę;
Dla któréj, gdy nam duszę długie zdrętwią bole,
Roskosz nie jest balsamem, ni żądłem cierpienie.

O! ta myśl pośród uciech, jak schorzałe zbytnie
Latem bezlistne drzewo, świéci nie wesoło!
Próżno promienie słońca nad niém lśnią około,
Uśmiéchnie się w ich blasku, lecz już nie odkwitnie.

ŁZA.

z Moora.

Na śniegow pościeli śpi promień xiężyca,
Choć chłodno i wietrzno, do grobu kochanka
Codziennie wieczorem przychodzi dziewica,
Modli się i wzdycha i płacze do ranka.

Choć chłodno i wietrzno, ni śnieżne zawieje,
Ni wicher kochanki nie straszy zimowy;
Na grobie miłego dziewica łzy leje,
I łza jéj raz padła na kamień grobowy.

Łza była gorąca, lecz wiatrem zmrożona,
Przystygła do głazu śród nocnéj zamieci;
Jak śronu perełka na drzewie zwieszona,
Noc całą, dzień cały, na mogile świeci.

Wtém postrzegł to anioł, i łeskę na grobie
Przeziębłą, co prędzéj pochwycił w swe dłonie:
Stąd Litość ją w niebie podobała sobie,
I perlę tę na swéj zwiesiła koronie.

PIELGRZYM.

Pielgrzym idący w zimny kraj północy,
Gdzie wokoł wodząc oczyma smutnémi,
Prócz gwiazd na niebie, złotych kwiatow nocy,
Niema nadziei spotkać kwiat na ziemi.

Jakże mu błogo! gdy na puśtéj błoni,
Spotka przechodząc kwiat niespodziewany;
Co go zachwyca wdziękiem farb i woni,
I przypomina kraj już pożegnany.

Tyś mu błysnęła tym podróżnym kwiatem!
Dziś choć na północ ciekawość go nęci,
Niezapomniana, za północnym światem,
Odkwitniesz w jego ogrodzie pamięci.

A jeśli czasem kwiat twego imienia,
Owionie oddech północnego grudnia;
Ogród pamięci ma słońce wspomnienia,
Co mu przygrzeje promieniem południa.

ANAKREONTYKI.

I.

Hejże daléj do wina!
Niechże dziś nie dziewczyna
Z ładném okiem, z uśmiéchem,
Lecz niech chłopiec, podczaszy
Zadzwoni nam kielichem,
Zagra muzyką flaszy!
Ile krajow, win tyle
Postawcie mi na stole;
Co zdążam, po méj sile,
W ucztującém kole,
Wypiję, i wesoło
Znów koléj poślę w koło.
Niech burgundzka jagoda
Co łzy leje różowe
Co jak w uczty godowe
Narzeczona młoda,
W krysztale się rumieni,
Niech nam twarz zaczerwieni!
Bogdaj takie łzy winne!

Te jak grzechy dziecinne
Nie ciężą nam ołowiem
Na sercu, na summieniu;
Lecz na mozgu, na głowie. —
Darzą siłą i zdrowiem,
Tylko w myśli zdurzeniu
Plączą słowa w rozmowie;
Któś niewieścim muszkatem
Niech wypełnia puhary!
Przy palącej Maderze;
Kosztowny długim latem
Dziś u mnie sotern stary,
Piérwsze hołdy odbierze.
Patrz sotern! złoto czyste,
Najpiérwszy z win nektaru!
Gdy po brzegach puharu
Skry jak gwiazdy zapali,
Tak iskrzące, przejrzyste!
Nektar z brzegów się wzbiera,
Myśl, jak s konchy Wenera,
Pośrod soternu fali
W mozgu lęgnie się, rodzi;
Wprzódy na twarz nam wschodzi,
Wprzód w oczach błyszczy, świeci,
Aż przez usta wyleci.
Kto miłością pijany,
Kochający, kochany
Sam do mnie! w ręce twoie!

Niech miłośna tęsknota
Utonie w winne zdroje!
Więc jak złoto do złota,
Przyrzuć żar do płomienia!
Kto skarżysz w złe godziny
Na nieczułość dziewczyny,
Kto śród nudow pożaru
Łajesz drugich i siebie,
Pij! a wiedz że dla ciebie
Leży na dnie puharu
Talizman zapomnienia.

II.

Gdzie te czasy, wiek złoty,
Wiek pieśni, męstwa, cnoty,
Ogień Prometeusza?
Którym rozgrzana dusza
Kochała i marzyła,
Ach, tak ognistą była!
Gdy miłośne westchnienia,
Gdy namiętne spójrzenia,
Namiętne pocałunki,
Krew nam w żyłach paliły,
Zmysły, duszę poiły,
Dziś zwietrzały te trunki!
A ten z nieba skradziony
Ogień w ludziach zgaszony,

Ledwo zakradł się w winie.
Co po pięknéj dziewczynie?
Gdy od chłopca dziś stroni,
Gdy dłoń wymyka z dłoni;
Ni nań spójrzy uprzejmie,
Ni go czule obejmie.
Twarz swą barwi tęsknotą,
Wzrokiem czułość udaje;
A gdy jéj serce daje,
Ona pyta o złoto!
Gdy pozna że kochana,
Z wykłamaną czułością
Rajskiém słowem, miłością,
Złowi serce młodzieży,
Potém zdradzi, odbieży.
Patrz! butelka szampana!
Oderwij z niéj pieczęci,
Jak wre, szumi, wir kręci,
Korkiem w górę szturmuje.
Wierzcie mi! nie w dziewczynie,
Nie w ludziach, lecz w tém winie
Dziś jeszcze się znajduje
Ogień Prometeusza;
Więc duszo bez kuntusza
Hulaj, pij, brodź w nektarze!
Gdy choć kropla w puharze
Zakradnie ci się na dnie,
Lej! niech na serce spadnie!

Niechaj pali, niech płonie,
W serce wsięknie, utonie
Całą treścią palącą!
Aż mię całkiem owionie
Taki żar, takie gorąco!
Aż grzany ogniem wina
Zapomnę choć w ułudzie,
Że jest zimna dziewczyna,
I że są zimni ludzie.

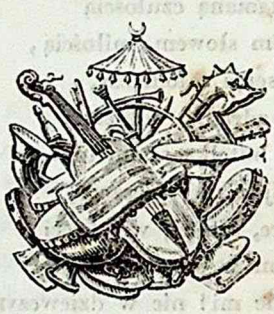

LIST.

LISTY.

I.

DO ADAMA MICKIEWICZA.

(w dzień jego imienin.)

Zaledwo błyśnie ranek, a słońce z obłoku
Złoty włos rozwinęło na szkarłacie wschodu;
Jakże piękny dzień wschodzi o zachodzie roku,
Dzień twojego imienia, dzień twojego rodu.
Adamie! jeśli święcim uroczyste świątki,
Ten stokroć uroczystszy s twéj dla nas pamiątki:
Bo choć wielkim gościńcem los nam ciebie dzieli,
Tyś zawsze bliski serca twoich przyjacieli.

Lecz czegoż ci winszować, czego życzyć trzeba?
Tobie, co wyroiwszy idealne nieba,
Jak meteor przelotny goszcząc na téj ziemi,
W podniebnych sferach mieszkasz myślami swojémi!
Ty jak duch, co po długiéj cierpień życia probie,

Raz wróciwszy do ziemi, skąd swój wziął początek,
Wstaje w północ, i krąży przy swym własnym grobie;
W przeszłości tylko bawisz s cieniami pamiątek.
Czegoż pragniesz Adamie? złoto cię nie wabi,
Ni cię purpura stroi s tyryjskich jedwabi;
Ani za cackiem szczęścia twoje oko goni:
Lecz kto jak ty ze szczodréj przyrodzenia dłoni,
Podobny tobie talent otrzymał w posagu,
Taki bogatszy, niżby posiadł złoto Tagu.

Szczęśliwe gwiazdy twoję kolebkę najrzały!
Natura, jeszcze w piérwsze twoich dni poranki,
Dziéckiem w pierś twoję wieszcze rzuciła zapały.
A jak dłótem kształcący obraz swéj kochanki,
Pigmalion w miłosném objęciu do razu
Swym pocałunkiem rozgrzał zimne usta głazu,
Zarzuciłeś jéj uścisk; — i w słodkim zachwycie;
Zaraz młodzieńczą żądzą twoja pierś zapłonie;
Natura obojętna, tajemnicze życie
Odetchnęła na twojém poetyckiém łonie,
Wnet serce twe uczucie piękności poruszy,
Człowiek jak we zwierciadle przejrzał się w twéj duszy.

Lecz skąd ta twoich pieśni harmonija dzika?
Skąd ci lutnia żałobna przypadła do smaku?
Czemu tak, jak ów orzeł w podobłocznym szlaku,
Co niecierpiący swoich lotów rowiennika,
Topi się w chmurach próżen śmiertelnéj bojaźni,

Samowładnie królujesz w sferach wyobraźni?
Bo czy z gminnéj powieści wyczerpując skarby,
Gminu mowę ubierasz w poetyckie farby;
Czy własną skargą drażniąc własne serca rany,
S samym Bajronem walczysz o palmę wygranéj:
Zawsze, jak ta syrena swém łudząca pieniem,
Krępujesz nasze serca silném zachwyceniem;
Jakkolwiek bądź Adamie! daj swe słyszeć pienia,
Orzeźwij nową pracą nieczynnego ducha,
A harmoniją pieśni znowu brzmiąc do ucha,
Nowém dziełem uwiecznij dzień twego imienia.

Niż twa muza nowémi zbogacona plony,
Tam gdzie Kaſa (*) śniegami uwieńczywszy skronie,
Niższym górom panuje na skalistym tronie:
Zwiedziwszy Krymu grody, Georgii strony,
Do swéj barwy wschodniego nasiękła koloru?
Więc zanóć nam Adamie od granic Bosporu!
A sława zmordowana nabrawszy ochoty,
Znów na twoje pochwały swe rozwinie loty.

r. 1825 *Wilno.*

(*) Góra Kaukaz.

II.

DO EDWARDA ODYŃCA.

Powiedz mi mój Edwardzie! powiedz, skąd pochodzi,
Że ledwo zegar czasu piąty dzień obchodzi,
Aż nim tydzień odciągnie na tablicy roku,
Już każda chwila wiekiem staje się bez ciebie!
Bo czy się wschodnie słońce wyiskrzy na niebie,
Czyli gwiazda wieczorna sen porai oku,
Zawsze skarżę dnia długość! zda się że czas wprzódy
Bystrzejsze, dla mnie tylko oleniwił chody.
Snać nie rychło cię nasza powita stolica,
Silniéj cię nad nią więzi Kowna okolica.
To miasto, hołdujące Kiejstutowéj właści
Długo Wilnu rowienne nadstawiało czoła:
Stąd Litwin, swe grabieże szląc w niemieckie sioła,
Nieraz s chwałą krzyżackie odganiał napaści;
Nieraz tu dzicz zamorska zbrojnémi tłumami,
Całą północ zalała, i walczyła z nami.
Do dziś tam widać zamku sterczące bezłady,
Niegdyś olbrzymie w niebo dźwigając kolumny
Nie jednym szturmom zdzierżał swą obroną dumny,
Nie jedne przeczeń przeszły kul ogniste grady;
Wkońcu mdlejąc powoli, śród wichrów zapasu,
Runął, dotknięty berłem żelaznego czasu.

Lecz po co ze snu wieków dawne budzić dzieje?
Blask ich, jak lampa grobu, słabém światłem tleje:

Albo zaszłe rdzą czasu giną w myśli zmierzchu,
Chwastami niepamięci porosłe po wierzchu.
Trudno się myśl przeciska przez wieków ruiny,
Lecz temu, kto nad gminną sferę wzwyż ulecí,
Jak brylant brazylijskiéj mieszkaniec doliny,
Po nocach niepewności gwiazda wschodu świeci

Więc na nie tajemnicze zarzućmy zasłony,
Pono z inną dziś myślą w te pobiegłeś strony.
Przypomnij, coś tam uczuł w zawczorajszym roku,
Tam myśl twoja, jak piorun po mglistym obłoku
Pogoniwszy w przeszłości pokruszonéj szczątki,
W jéj gruzach dziś nie jedne odgrzebie pamiątki.
Tam jako fenix, siebie zacniéjszą połową,
Terazniéjszością w przeszłość odkwitniesz na nowo.
Jednakże upojony pamiątek urokiem,
Pomnij swą czułość trzymać na rossądku straży;
By nimfa pięknych dolin, lub srébrnéj Niewiaży,
Znowu cię czerodziéjskiém nie urzekła okiem.
Sam wiesz, jak niebespieczny pocisk jéj spójrzenia,
A więc dawne s pamięci wywołaj wspomnienia!
Bo serce raz zranione snadniéj się skaleczy,
A rana podrażniona nie łatwo się leczy,
Lepiéj sielskiéj dziewicy swoje oddaj serce,
Wszak i Kownu nie zbywa na pięknéj *pasterce*.

Lecz już ty s końcem maja muz kochanku młody,
Poetyckiémiś Litwę udarował płody.

Już na niemeńskich błoniach, u Wilii brzega,
Wdzięcznie się w uchu ziomków twoja pieśń rozlega.
Całe Wilno brzmi jeszcze twoich wierszy echem,
Przybywaj więc, przybywaj Edwardzie s pośpiechem!
Niech tu rad własną chwałą słuch się twój napoi,
Niech się tobą nacieszą przyjaciele twoi:
A z jakiém sercem byłeś ode mnie żegnany,
S témże samém i dzisiaj będziesz powitany.

r. 1825 *Wilno.*

III.

DO ALEXANDRA CHODŹKI.

Coelum non animum mutant, qui trans mare currunt.

HORAT. EPIST.

Już pono szósty miesiąc, jak s czasów wymiaru
Zakreśla nam skazówka wiecznego zegaru,
A jeszcze czekam skutku twojéj zapowiedzi!
Powiedz mi, czy twe serce wykształcone z miedzi,
Czyś zwlekając na daléj pisać się zalenił,
Czyli ze zmianą nieba i serceś odmienił?
Lecz mniéjsza, dość tych sporów; dziś w naszym rozdziale,
Nie waśnie, bardziéj obu przystoją nam żale.
A jeśli chcesz co prędzéj zawstydzić mą zrzędę,
Napisz tylko, a więcéj gniewać się nie będę.

Sam wyznaj, jeśli duszy znana ci wymowa,
Jak słodka nieobecnym listowna rozmowa!
Chwała temu, kto piérwszy pisma wynalasku
Udzielił, swoje cyfry malując na piasku:
Kto piérwszy, w jarzmo pióra słowa wprzągłszy ścisłej,
Ciała i głosu niemój przypożyczył myśli.

Gdzież jesteś Alexandrze? czyś zdrów, czyś wesoły?
Czy jeszcze masz w pamięci dawne przyjacioły?
Czy ci zima północna twych uczuć nie ziębi?
Czy myśl twoja odbita w przeszłych czasów głębi,
Jak grających kolorów siedmiofarbna wstęga
Wielkim łukiem śmigając w błękit niebokręga,
Obu końcami zda się przeginać do ziemi,
Jeszcze kiedy się zbiega z myślami naszémi?
Czy cię kiedy natchnienia zagrzewają wieszcze,
Czy w poezii sferach myśl twa gości jeszcze?
Gdzie duch Bajrona w kształcie wielkiego olbrzyma
Wydarte Grekóm berło genijuszu trzyma.

Szczęśliwyś! ni cię troska zasępi żałobą,
I przeszłość jeszcze s tobą, i przyszłość przed tobą!
Niedługo może mroźne rzuciwszy Tryony,
I wdziękiem, i pięknością miejsca przychęcony,
Pobiegniesz między kraje czarodziejskie Wschodu:
Gdzie, nakształt bajecznego Armidy ogrodu,
Wieczne sobie pałace zbudowała wiosna;
Gdzie słońce, jak o świcie dziewica miłośna,

Naprzód wzrokiem ognistym rzuca na młodzieńca,
Świecąc goręcéj, piérwszy promień swój poświęca;
Gdzie same skały, co gdzieś grzbiet dzwigają nagi,
Hojniéjszémi natura nadała posagi.
Tam to nieraz dziwiąca podróżnika oczy,
Tempe kwietne doliny przed tobą rostoczy.
I gdzie Teby kwitnęły, możne syrakuzy;
A choć je grube czasu przysunęły gruzy,
Choć w łonie ziemi leżą zasute głęboko,
Łatwo je znajdzie twojéj wyobraźni oko.
Na nich to zaprawując twój pędzel bogaty,
Polskie niwy we wschodnie poustrajaj kwiaty.

O jeśli dobre chęci są u ciebie w cenie,
Przyjm szczére przyjaciela na drogę życzenie!
Niechaj gwiazdy przyjazne co ci świecić mają,
Los pożądny, i podróż szczęśliwą narają.
A czy przez stałe lądy poniesiesz twe stopy,
Czy się łodzią zapuścisz na morskie potopy,
Niech się wichrów przed tobą pociszą swawole!
Panuj tam, jak na sobie służebnym żywiole.
A za przyjaźnią wiatrów, niewstrzymany w biegu,
Zdrów i wesoł dopływaj żądanego brzegu.
Więc nim s czasem cię losy spotkają łaskawsze,
Bywaj zdrów, pisuj do mnie i kochaj mię zawsze.

r. 1826 *Wilno.*

IV.

D O . W. W.

Jeślić w mysli przytomne przeszłych czasów dzieje,
Jeśli ci teraźniejszość przeszłością się śmieje,
S kraju, gdzieś poznał piérwszéj miłości ponęty,
Od zabrzeża Prypeci piszę ci Walenty!
Miéjsce to dla nas obu urok ma niemały,
I jam tu piérwsze uczuł kupida postrzały.
Mały bożek, a ciężkie narzuca nam pęta!
Dziś, jak Arab idący na mekkańskie święta,
Choć skarży na upały słońcowego blasku,
I dniem i nocą brodzi oceany piasku,
Aż mu xiężyc półkolny z meczetu zaświeci,
Błądzę, a błądzę tylko brzegami Prypeci:
Aż nim moja z uwdzięknem anielskiego lica,
Z uśmiéchem wschodniéj Peri, zabłyśnie dziewica.
Rzecz dziwna! że w tak pustéj, zapadłej krainie,
Gdzie jak kocyt leniwym nurtem Pina płynie:
Gdzie tylko dzika kaczka swe rozwija loty,
I pierzaste po bagnach, wiją się czeroty,
Tylę kwiatów piękności zarazem wykwita!
Z zadumieniem przybyłec wdzięk tameczny wita,
Widząc piękne kobiéty, przytém dzikość kraju,
Sam nie wie, dać mu imie czy piekła, czy raju?

Dość o tém — spytasz może, com w tych stronach robił,
Czym się na przyszłość w zapas życia usposobił?

Bym jak pszczółka zapaśna, pókim jeszcze młody,
S kwiatów uciech pamiątek powysysał miody.
Czym wiersz jaki napisał, bym przy młodym rymie,
Ostygły duch zapalał w późnéj wieku zimie?
Próżne twoje pytania, ni jedno, ni drugie,
Ty lepiéj cóś mi napisz na wieczory długie!
Mnie wsi mieszkańca wieści zabawią stołeczne,
U nas coraz to krótsze godziny słoneczne:
Noc dzień prześciga, i nim gnuśna zejdzie zima,
Białe państwo dnia na wpół pod swém berłem trzyma.
Nigdzie ruszyć, śnieg drogi zasypał sąsiednie,
Wszyscy siedząc po domach nudzim niepowszednie.
Czasami o wieczornéj weselszy godzinie,
Przemarzę jaką błogą chwilę przy kominie,
I o sobie, i o was przyjaciele moi,
Bo między mną a wami myśl się moja dwoi.
Inna tobie Walenty! śród ulicznych wrzasków,
Śród przepychów stolicy, śród wielmożnych blasków;
Odurzony tak różnym przedmiotów natłokiem,
Patrzysz na nie malarza badającém okiem.
Chwała ci! że twój umysł rad być ciągle czynny,
I twój pędzel już u nas poprawnością słynny:
A jeśli ci prac dalszych chęć twa nie poskąpi,
Godnie nam Czechowicza talent twój zastąpi.
Lecz słyszę, wkrótce rzucisz Petersburga mury,
By się napatrzyć wdziękóm południéj natury.
Gdzie Italija piękna wdzięcząc lica swoje,
Jakby snem czarnoxięskim pieszcząc oko twoje,

Milszą ziemią, piękniéjszą zachwyci cię gwiazdą.
Zwiedź to święte klasycznych genijuszow gniazdo!
Tam wszystko ożywione, tam promień stworzenia
Wyobraźnię silniéjszym ogniem rosplomienia!
Nieme płótna, marmuru nieruchome bryły,
Przemówiły pod pędzlem, pod dłótem ożyły.
Błoga ziemia, szczęśliwy na téj ziemi plonie!
Każde ziarno talentu wylęgłe w jéj łonie
Pod niebem pogodniéjszém, przy piękniéjszéj wiośnie,
Prędzéj niż gdzie dójrzeje i swobodniéj wzrośnie.
My północni, pod mroźne osadzeni nieba,
Obumarłéj naturze darmo się przeciwim,
Gdy iskrę genijuszu w piersi naszéj żywim,
Aby ją rozdąć, słońca itaslkiego trzeba!
Spiesz więc tam mój Walenty! zwiedź klasyczne skarby,
Umocz pędzel w natury czarodziéjskie farby;
I nim, jeżeli wyższe czucie myśl twą wzruszy,
Wypisz na płótnie całą historyję duszy!
Tak, gdy twój talent w siły porośnie olbrzymie,
Miéj w zysku cześć rodaków, i rozgłośne imie.
A jeśli wieść ta dójdzie i na moją grzędę,
O! sercem przyjaciela radować się będę.

V.

DO J. C.

Myślisz może Jgnacy, czemu łatwo wierzę,
S tobą ustnie zawarte żem zgwałcił przymierze;
Chociaż go stęplowana nie poświadczy karta,
Znaj więc, że słówność moja wiary twojéj warta.
Dane słowo na duszy ryjmy jak na miedzi,
Masz list, a z nim i skutek mojéj zapowiedzi.
Co za treść jego będzie? jeszcze w tém zagadka,
Bo myśl, nakształt w swym pączku więzionego kwiatka,
Nie wprzód w ziarno się zetnie i w owoc dojrzeje,
Aż ją promień rozwagi blaskiem swym ogrzeje.
Lecz nie pytaj porządku listownéj rozmowy,
Bom pisząc do przyjaciół nie zwykł suszyć głowy.
A jeśli go zapragniesz, jak przysłowie niesie,
Szukaj kłębka po nici, albo błądź jak w lesie.

Oto słońce dziesiąte już gore nad nami,
Od czasu gdym Dziewicią pożegnał ze łzami.
Wierzaj! nigdy ją pamięć nie przepomni moja,
W niéj grzeczność pięknych dziewic, i gościnność twoja,
Nie jedną zajmie kartę w xiędze mych pamiątek.
Tu poznania, tu naszéj przyjaźni początek.
Nieraz może siedzący za pańskiémi stoły:
Gdzie dosyt zbytku dowcip przytępił wesoły,
Gdzie gwiazdziste pijaki s pawagą na czole,
Zagrzani winem, gwarzą przy biesiadnym stole. —

Wtedy do cię Ignacy myśl uleci moja,
Pomyślę sobie w duchu lepsza uczta twoja!
Choć stoły twe ciężarem sréber nie ciężyły,
Choć cukrów różnofarbnych zamrożone bryły,
Brylantowym połyskiem nie lśniły się w oku:
Miód ojczysty i woda s ciekącego stoku,
Milsze były, niż owe przywożne nektary,
Gdy krwią winnéj jagody zofarbują czary.
Dotąd w myśli uczt naszych żywy obraz stoi,
Kiedy stół twój zasiedli przyjaciele twoi:
Kiedy piękna, a skromna jak lilija wodna,
Przy twym boku usiadła małżonka urodna,
Gdy twą Stasię maleńką trzymając na ręku,
Rumieniła się wstydem anielskiego wdzięku.
A ona, jak dwa róży wychylone pączki,
Drobne na jéj ramiona zarzucała rączki:
To do twoich lic męskich wdzięcząc twarz dziecinną,
Rzewniła cię uśmiéchem, i grą słów niewinną.
Przypomnij nie myślane naszych uczt rozmowy,
I wesołość zaprawną dowcipnémi słowy.
Czasem cichość milczącéj, spóźnionéj wieczerzy,
Kłócił kiedy nie kiedy głośny dzwięk talerzy:
Ten do marzeń, ów znowu skłaniał się do spania,
Wtém twój dowcip przerywa ciągłą nić dumania!
Budzim się, i przez ciebie rzeźwieni na nowo,
Piluém uchem chwytamy twe zabawne słowo;
A śmiéch głośny, milczenie płoszący dokoła,
Z rostwartémi ustami biegał w okrąg stoła.

I kiedyż ci podobną gościną zawdzięczę?
O przyjedź tylko do mnie Ignacy, a ręczę
Że radéj tobie chatki nie rzucisz bez żalu!
Nie zadziwię cię zbytkiem wykwintnego balu,
Wierzaj mi, ani tłumnie zaproszonym gminem,
Nie zamorskim owocem, nie tokajskiém winem,
Ale sercem otwartém przyjmować cię będę.
A jeśli twéj zbawiennéj rady nie zabędę,
Jeśli twojéj podobną znalazłszy kochankę,
Taką sercem, i licem zaślubię Ziemiankę,
I tę ci bez zazdrości tak jak ty pokażę....
Lecz cyt — już i dwónasta bije na zegarze,
Chcę pisać, tu jak na złość na sen mi się zbiera,
Nic trudnego chcącemu, i to prawda szczéra.
Więc nim wschód słońca gwiazdy zapowiedzą gończe,
Daruj że jeszcze zrzędą list ci mój zakończę.

Pomnisz, jakeśmy nieraz łajali ci za to,
Że bezczynnie upływa piękne dni twych lato.
Kiedyś ziarna talentu zasiał w wieku wiośnie,
Czemuż ich dojrzałości owóc nie dorośnie?
Maszli więc jak ten skąpy, co z laty długiémi
Uzbierany skarb kryje we wnętrznościach ziemi,
Niekorzystać sam z darów zesłanych od nieba?
Że będziesz odtąd pisał, przysiąż mi na Feba!
Mówisz, zle na wsi pisać wszak śpiewak Blandusy (*)

(*) O fons Blandusiae splendidior vitro.

HORAT.

Żył na wsi przecie śpiéwał za przyjaźnią Muzy.
Pisz więc, jeszcze do sławy otwarte ci wrota,
Niechcesz wierszem, pisz prozą na wzór Walterskota,
A jeśli z wad lenistwa szczérze się poprawisz,
Sam na sławę zarobisz, i drugich zabawisz.

r. 1827 *Strzała.*

VI.

DO L. R.

Skąd ci tak smutno piszę, spytasz się Leonie?
Od wesela do smutku łatwe pójdą wnioski,
Wszystko ma swe wesele, wszystko ma swe troski.
I słowik smutniéj śpiéwa po kochanki zgonie,
I dzwon jęcząc nad zgonem tęskniéj brzmi do ucha,
I gołąb nie wesoło swoje żale grucha,
Gdy się s swoją gołąbką na chwilę rozdzieli;
I ja smutny daleki moich przyjacieli.

Błogo temu, kto jeszcze od swoich wydarty,
Uchem myśli przez pismo głos dalekich słyszy!
Lżéj jest nam własne bole tłumaczyć przez karty,
I troska powierzona snadniéj się pociszy.
Wprawdzie głos żalu w ustach naszych zle się wyda,
Myśl rozżali, i męskość ducha nam zniewieści;
Lecz surowość stoicka na nic się nie przyda:
Spytaj wieków, a zawsze był język boleści,
Zawsze człek skargą żalu do czucia przenikał,

Cierpiał, cierpiąc czuć drugich cierpienia przywykał.
Gdy walczyć z rozrzewnieniem nie po naszéj sile,
Więc wspomnieniom przeszłości poświęćmy te chwile.
Nieraz tam mój Leonie nasza myśl ulata,
Gdzie zielone młodości przekwitnęły lata!
Przeszłość jakiś ma urok tajemniczy w sobie,
Jak łza szczéra wylana na kochanki grobie;
A wrodzoną łzy gorycz słodka boleść słodzi,
Jakaś boleść, co samą rospacz nam łagodzi.
Tak za widmem przeszłości wszyscy radzi gonim,
Szczęście przeszłe nas boli, przecież marzym o nim!
Cóż gdy jeszcze w niéj nasze są zamknięte dzieje,
I chwile najszczęśliwsze, i piękne nadzieje?
Gdy rozum się przeczyszczał, pierś czuła głęboko,
Serce szukało serca, a młodości oko,
Bystre jak myśl poety, jak skrzydło sokole,
Biegało na przyszłości ukwiecone pole.

Jednakże ci Leonie wdzięczne Wilna mury,
I te Popław i Werek piękne okolice,
I nad samę naturę piękniéjsze dziewice,
I te zamków ruiny dźwigające góry,
Na które nikt nie rzuci spójrzeniem wesołem;
Bo duch przeszłéj wielkości krąży nad ich czołem.
Kto jeszcze jak ty lubi xiąg mozolne prace,
Zwabią go stare nauk i myśli pałace. (*)

(*) Uniwersytet Cesarsko-Wileński.

S tego to odwiecznego wielkich mężów gniazda,
Błysnęła nam olbrzymia genijuszu gwiazda. (*)
Jak kometa s pod złotych błyszczący warkoczy,
Ta z grubéj chmury błędów przetarła nam oczy;
I przepadłszy za wieków ostatnie zasieki,
Wstecz cofnęła ku zrzódłóm stare dziejów rzeki.
Dziś jeszcze, gdy konieczność twarda nas rozdziela,
Przystojąż naszéj twarzy uśmiechy wesela?
Wszak gdy niebo pochmurne, słońce nie tak błyska,
I uśmiech mniéj wesoły, gdy żal serce ściska.

Choć pierzchły kształty w jedne zrastające ciała,
Jeszcze nam po nich przyjaźń i praca została.
Tą słodźmy nasze troski, a tamtą zagrzani,
Dźwignijmy myśli nasze s przesądów otchłani!
Precz ten Franków obyczaj, co nas w pęta kuje?
Cóż po nim? gdy myśl martwa, serce nic nie czuje.
W Szyllerów i Bajronów zapuśćmy się szlaki!
Wszak i orły drobniéjsze naśladują ptaki:
Często orła doścignął bystry lot sokoła,
I byk młódszy starszemu śmiał nadstawić czoła.
Tak niezrażeni trudem, w wzajemnym przegonie,
I kształćmy się i piszmy kształceni Leonie!

r. 1827 *Strzała.*

(*) Joachim Lelewel, były Profesor historyi powszechnéj w tymże Uniwersytecie.

VII.

DO M. S.

Już drugi rok ugina ciężką czasu szalę,
Od chwili gdym cię widział kochany Michale!
Kto tam w ciemnéj przyszłości umie czytać snadnie,
Może się nam już nigdy widzieć nie wypadnie?
Świat morzem — po niém tysiąc miryadów płynie,
A rzadki przecie zdrowo do portu zawinie.
Wszak nieraz, bratnie łodzie żeglujące razem,
Pan morza wodą zalał, lub potrzaskał głazem.
Dość o tém — myśl weselsza w mojéj świta głowie,
Wszak *sic fata tulerunt* stare jest przysłowie.
Bo z działu dostający roskosz i cierpienia,
Nikt s śmiertelnych nie umknął sidłóm przeznaczenia.
Ten tylko u mnie spełna mądrym się rozumie,
Kto sam sobie w obojéj doli rad być umie.
Życie nasze, sen, mara! więc użyjmy radzi,
Co i los nam nadarzy, co serce poradzi.
Kto tam będzie odświeżać raz zleczone bole?
Ot lepiéj co tu robię powiedzieć ci wolę.
Już nad borem Sporowa trzecie gwiazdy gorą,
I trzecie słońce gasnąc zapada w jezioro;
Jak tu zabywszy życia nużącéj mozoły,
Na łonie wsi roskosznéj pędzę czas wesoły.
Sam wiesz, jak prawy uczeń Epikura trzody (*)

(*) Tak Horacijusz w jednym liście swoim zartobliwie siebie nazywa «Epicuri de grege porcum.

Lubię i stół wymyślny i miękkie swobody;
Lubię, bom nigdy w niczém nie był stoik ścisły,
I co duszę zachwyca i co łechce zmysły.
A tu wszystko zarazem znaleść można snadnie,
Jedno duszę upieści, drugie zmysł owładnie.
Rzadka miejsca przysada, dzikie okolice,
Ogrody od wymysłu, powabne dziewice;
A co większą przyjemność ta goszczącym czyni,
Oto słynna gościnność saméj gospodyni!

Michale! wielka szkoda że cię tutaj niéma,
Ciebie prawa labirynt w więzach miasta trzyma;
Ja dziś na wsi wolniéjsze oddycham powietrze,
Tu czasem lekki dowcip myśl mi nudną przetrze;
A po dziennych zabawach, gawędce wieczora,
Idę błądzić brzegami bliskiego jeziora.
Tam wzrok mój popuściwszy s ciągłym ruchem fali,
Myślą w błękitniejącéj gubię się oddali:
To zbierając powoli różne marzeń skarby,
Po méj chęci cieniuję wyobraźni farby;
To myśl pławiąc na falach stambulskiego dymu,
Rospierzchłe słowa wprzęgam w ciężkie jarzmo rymu.

Otoż masz mój Michale całe me zabawy!
Sam wyznaj, czyli nad nie miejskie wolisz wrzawy?
Wróć z miasta! a wtém zda się dobra rada moja,
Dom twój tęskni po tobie, i rodzina twoja.
Co do mnie, czy mię znajdziesz? nie daję ci słowa,

Jutro może pożegnam mieszkańce Sporowa,
Jutro jadę, choć tutaj dobrze mi jak w niebie,
A wierz, że mi do niego brakło tylko ciebie!

r. 1826 *Sporow.*

VIII.

DO J. D.

Długo razem Ignacy, dzisiaj tak daleko!
Miejscem ciebie daleki, ale sercem bliski,
Wierz mi, czekam jak rychło chwile, dni przecieką,
Aż nim ci witające zarzucę uściski.
Tymczasem piszę tobie — nieraz w oddaleniu,
Listy są talizmanem przeciw zapomnieniu;
Nieraz tych, co w dalekie gdzieś zabiegli światy,
Których smutek pokrewny już opłakał straty,
O których sama pamięć s czasem była starta,
Zapomnianych wędrowna przypomniała karta.

Już trzeci miesiąc mija, jak mieszkaniec miasta,
Wsi odbiegłszy, oglądam Petersburga mury.
Piękne miasto! nie darmo ciekawość w nas wzrasta,
By widzieć jego gmachy piętrzące się w chmury;
I dziwiące granitów ogromnością bryły,
Co na ludzkie roskazy zeszły się, spoiły:
Pośród których spokojnie wielka Newa płynie,
Jak zrzódło w marmurowe zamknięte naczynie.
Wszystko tutaj przybylca rychło łechce zmysły,

Zaprawdę zmysł, — a duszę wiąże łańcuch ścisły:
Lecz dla duszy Ignacy, innéj karmi trzeba,
Rozmaitszéj natury, słonecznego nieba.
A tu słońce, jak światło na tanim pogrzebie,
Skąpym blaskiem przyświéca na pochmurném niebie.
Dzień krótki, rzekłbyś, nocy wlokąca się szata
Ostatnim rąbkiem cieniu pośród dnia zamiata.
Jest, mówią, dzień polarny, dzień wielki, bez końca,
Wciąż świecący, bez wschodu i zachodu słońca;
Jakże pragnę go ujrzeć! lecz lato daleko,
A tymczasem zimowe dni długo się wleką.
Może powiesz, masz xięgi! cóż stąd? gdy niestety!
Nieradzi w nich smakują leniwe poety.
Zaprawdę, martwe słowa nie mają potęgi,
O żąden wieszcz natchnienia nie zaczerpnął s xięgi!
A dla nas natchnień trzeba — miejscy ludzie, mury,
Bawią nam myśl i oko, lecz uczucie głuszą:
Oko pięknéj, krajobraz żyjącéj natury,
I milcząca rozmowa gór i nieba z duszą,
Oto są zrzódła natchnień; błogi kto z nich pije!
Lecz nikt tego pragnienia w mieście nie przystudzi:
Tu serce odrętwione śród ziębiących ludzi,
Jak Chameleon wiatrem, pamiątkami żyje,
Ty co jeszcze się kopiesz z żądzą Psychologa,
W głębokich minach myśli, tuby cię zwabiła
Kręcąca się manowcem doświadczenia droga.
Dla mnie pielgrzymka po niéj nie jest arcymiła:
Doświadczenie jest drugim probierczym kamieniem,

Na nim serce, jak złoto, za każdém dotknieniem,
Ściera się, i część siebie zostawia po sobie,
Aż same w powtarzanéj skamienieje probie.

Może znudzony trudem rolniczéj mozoły,
Zazdrościsz mi, że w mieście pędzę czas wesoły?
Sam wiesz, miasto dla młodych jakie ma ponęty!
W niém czynném próżnowaniem każdy dzień zajęty.
Lecz tu niéma najlepszych naszych przyjacieli,
Od jednych ziemie, morze od drugich nas dzieli;
A jednemu, jak mówią, żyć na świecie nudno,
Serce do obcych ludzi przywyka dość trudno.
Stémwszystkiem mój tu w mieście pobyt nie jałowy,
Nie szczupły zbieram zapas do naszéj rozmowy:
A gdy nowy cel jaki chęci mych nie zmieni,
Wrócę na wieś s początkiem następnéj jesieni.
Tam to luby Ignacy! po długim rozdziale,
Z upragnieniem pomówim s sobą pousałe.
A gdy szara wieczora nadpłynie godzina,
Zasiądziem przy ognisku twojego komina.
Twój pies, naszéj gawędki powiernik jedyny,
U nóg naszych przeleży wieczorne godziny.
Tam za zdrowie wzajemne pękną wina flasze,
Lub zamorskim porterém mącąc mozgi nasze,
W roskosznem upojeniu i serca, i głowy,
Wypróżnim cały zapas wzajemnéj rozmowy.

r. 1829 *Petersburg.*

BAJRAM.

POWIEŚĆ TURECKA.

BAJKA II.

(*) «Ludzie mi chwalą roskosze Edenu,
Kwiaty Edenu, co milsze tchną wonie,
Niż nasze róże córki łąk Jemenu.
Cóż gdy wyższego szczęścia, i po zgonie,
Nad miłość, któréj hołdujem na świecie,
Nam nie przyrzekasz wielki Mahomecie?

(*) Piosnka ta jest naśladowaniem następnych strofek s poezii Tomasza Moora.

Tell me not of joys above
If thath world can give no bliss
Truer, happier than the Love
Which ensloves our souls in this.

Tell me not of Houris' eyes
Far from me their dangerous glow!
If those looks that light the skies
Wound like some that burn below!

Who that feels what Love is here
All ist falsehood — all ist pain —
Would, for ev'n Elysium's sphere,
Risk the fatal dream again?

LALLA ROUKH.

Mówisz mi piękne mam huri u siebie!
Precz mi ich oczu ogniste spójrzenia:
Jeśli te oczy jaśniejące w niebie,
Zbrojne w niebieski urok przymilenia,
Palą nam serca ogniami swojémi,
Jak te śmiertelne co gorą na ziemi.

Któż z dzieci słońca byłby tak zuchwały,
Znając już miłość jéj trwogi, jéj męki,
Ślepe obłudy, nierozważne szały;
Coby w nagrodę za niebieskie wdzięki
Nieśmiertelnego Edenu mieszkania,
Śmiał się odważyć choć na sen kochania?»

Piosnka ta wszystkim znajoma na Wschodzie,
Kiedy na morze mrok zapada szary,
Błędną się łodzią ślizgając po wodzie,
Majtek ją nóci przy dzwięku gitary;
Nócą greczynki, każda nótą swoją,
Gdy kochać pragną, i kochać się boją.

Tam gdzie są w ludziach namiętności wrzące,
Tam inna miłość włada między niemi:
Tak jest ognista jak ich nieba słońce,
I tak uroczna jak kwiaty ich ziemi,
I tak burząca jak wiatr ich pustyni,
Razem i szczęścia i nieszczęść sprawczyni.

Czemu na ziemi, zapytaj kochanka!
Tak mirt i cyprys ciągłą przyjaźń chowa?
Często do mirtu weselnego wianka
Miesza się czarna gałąź cyprysowa:
Smutna jak chmura na pogodném niebie,
Dzika jak uśmiéch na łzawym pogrzebie.

Był Ali-pasza wielkich wsi bogaczem,
Możny urzędem i jasnością rodu;
Dwór jego, ziemie wschodu i zachodu
Swoich piękności darzyły haraczem:
Tłum wdzięków kwitnął po salach haremu,
A jedna Leli podoba się jemu.

Kochał on Leli — i któż cudnéj Leli
Nie sławił wdzięków w Mahomeda kraju?
Twarzą wstydziła śnieg łabędziéj bieli,
Kwiat najpiękniéjszy w Alego seraju!
A ogień w dużém w czarném Leli oku,
Takim grał blaskiem jak brylant o zmroku.

Któż był o Paszo szczęśliwszym od ciebie,
Gdyś Leli pieścił o wieczornéj dobie?
Nawet sam Allah królujący w niebie,
Téj by roskoszy pozazdrościł tobie!
Na sam jéj uśmiéch, na sam rzut jéj oka
Z niebios by sstąpił święty duch Proroka.

Pasza nie skąpi ni pieszczot ni złota,
Lecz jego uczuć Leli nie podziela:
Leli posępna, jakowaś tęsknota
Lica jéj mroczy, a uśmiéch wesela,
Jak ów w ogrodzie kwiat zaczarowany,
Na smutném licu kwitnie niewidziany.

Bo powiadają, od czasu że Leli
Jak do Alego haremu przybyła,
Nigdy jéj rozmów, śmiechów nie słyszeli,
Że ciągle smutna i milcząca była.
Ale jéj oczy co ogniem jaśniały,
Widać, że kiedyś z uśmiéchem się znały.

Nieraz to było, gdy w dzień Róży święta (1)
Po kwietnych łąkach, przy świetle xiężyca,
Grają, tańcują haremu dziewczęta,
Ona gwiazd tylko blaskiem się zachwyca;
Wzdycha, od nieba wzrok spuszcza do ziemi,
Lecz nie tańcuje, lecz nie igra z niémi.

Nieraz w ognistych objęciach Alego,
Jak zimny posąg marmuru spoczywa,
I swoich wstrętów nie kryje dla niego:
Gdy ją całuje, wnet usta odrywa,
Jéj ręka z objęć bez życia odpada,
Serce nie bije, twarz jéj zimna, blada.

Pasza w tajemnéj komnacie seraju
Siedział na sofie krytéj axamitem,
I czego nigdy nie miał we zwyczaju,
Myślał, s pościeli zerwał się przed świtem;
Myślom pomagał ciągłym ruchem głowy,
A wzrok miał dziki, iskrzący, surowy.

To wkoło siebie zataczając okiem
Przymknął się ku drzwiom, i nadstawia ucha;
To po komnacie wielkim chodząc krokiem,
Mówi do siebie — i sam siebie słucha.
Zżyma się, ręką długą brodę głaszcze,
Ściąga ramiona, i na sługi klaszcze.

«Chodź sam tu chłopcze! wołać mi Hafada,
Wodza eunuchów mojego haremu!»
I poszedł chłopiec wołać go — «o biada,
Pomyślał pasza, wielka biada jemu!
Jeśli mi nędznik w czém się przeniewierzył;
Jeśli haremu komu klucz powierzył.

Ach jeśli ona!» — wtém się drzwi otwarły,
Wszedł siwy Hafad z giermkami, s paziami,
A obok jego dwa stąpają karły;
Sam z złożonémi na piersiach rękami,
Choć już był długim latem pochylony,
Przed paszą niskie wybijał pokłony.

«Słuchaj Hafadzie! lecz nim mię posłuchasz,
Oddal swe karły, i giermki, i pazie!
Słuchaj Hafadzie! kiedy żar rozdmuchasz,
Wnet on wypali plamy na żelazie:
Na kogo iskra mojéj zemsty padnie,
Wnet tego pożar niszczący owładnie.

Jeśliś mą Leli za służby najemne
Zaprzedał komu, niech cię złe uchowa!
Jeśli s kim schadzki miewała tajemne,
Patrz! na tym stryczku zawiśnie twa głowa!
A co wyrzekłem, miéj w myśli przytomnie,
Tymczasem starcze przyprowadź ją do mnie!»

Hafad w milczeniu zniosł obelgi paszy,
Niewolnik pana słowa ma na względzie:
Tam gdzie niewola ust wymowę straszy,
Tam jedno «Stań się» jedno «niech tak będzie»
Jak czarnoxięski talizman wyrazu,
Ust milijony zamyka do razu.

Tentent idących rozdał się po murach,
Pasza z miłością, z gniewem się pasował;
Już szelest sukni po śliskich marmurach,
Przyjście mu Leli co chwilę zwiastował;
Tentent idących rozdał się we dwoje,
Brząkły wrzeciądze, skrzypnęły podwoje.

I weszła Leli nieśmiała i drżąca,
Muślinny welon, jak biały obłoczek
Krążący w koło srébrnego miesiąca,
Przejrzysty welon, przez który jéj oczek
Blask się przebijał, jak z mgły błyskawica,
Spadając s czoła obwiewał jéj lica.

Pasza i Leli sam na sam zostali,
Przez okno tylko wpadał promyk ranny;
Zmierzchno i cicho było jeszcze w sali,
Cichość przerywał jeden szmer fontanny,
Która tryskając w wanny marmurowe,
S szumem zlewała swe krople perłowe.

Długo milczeli, wtém pasza zawoła:
Nie głosem wdzięcznym co s serca pochodzi,
Lecz grzmiącym, jak jest głos śmierci anioła,
Kiedy po duszę zbrodniarza przychodzi;
A w którym zbrodniarz jęk piekielny słyszy,
Jęk dziki przyszłych swoich towarzyszy.

«Słuchaj niewierna! gdzieś mi była wczora
Gdym ja cię wzywał do wonnéj kąpieli?
Skąd te samotne przechadzki wieczora?
O niech piorunem we mnie Allah strzeli!
I ty i Hafad — jutro, za godzinę ...
Lub wnet mi klękaj, i wyznaj twą winę.»

Pasza w zapale i fukał, i groził,
Leli jak posąg nieruchoma stoi:
Czy już tak dreszcz ją śmiertelny zamroził,
Że skinąć ręką, rzec słowo się boi.
Wtém twarz zakrytą muślinnym obłokiem
Odsłania, ciska na Alego okiem.

«Posłuchaj paszo! posłuchaj', jam winna!
Hafad nie winien — wieczor był pogodny,
Przyszła do głowy jakaś myśl dziecinna:
Sam wiesz, gdzie ogród grodzi parkan wodny,
Na prawo rośnie wielki krzak jaźminu,
A pod jaźminem jest ławka z bursztynu.

Tam ja znużona przechadzką w ogrodzie,
Lubię wypocząć — stroję w kwiaty głowę;
Lubię żegnając słońce na zachodzie,
Liczyć różańca ziarna rubinowe.
Ja lubię razem ze słowika pieniem,
Witać noc piękną modlitwą, westchnieniem.

Tam ja co wieczor jednę gwiazdę witam,
Gwiazdę strażniczkę moich lat dziecinnych!
Tam ja co wieczor, tam ustami chwytam
Wiejące wiatry z moich strón rodzinnych;
Gdzie pośród Kleftów, o pamięci tkliwa! (2)
Byłam kochana, tak byłam szczęśliwa!»

— «Dość, dość niewierna! każde słowo twoje,
Po kropli jadu zda się w ucho leje;
Znam ja psy Klefty! dziś seraj uzbroję,
A jutro z mieczem spoluję ich knieje!
Z mieczem i z ogniem — w dzikim zemsty szale,
Co miecz oszczędzi, to ogniem wypalę.

Jutro tych źwierząt wyśledzę pieczary,
Gdy miecz mój błyśnie, zadrzyjcie Kleftowie!
Sam krwią ich wodza napoję puhary,
I piérwszy wniosę toast za twe zdrowie!
Jutro!» to słowo dzikim głosem wrzasnął,
Wyszedł i ręką mocno drzwi zatrzasnął.

Leli została zbladła, sama jedna,
Przez okno jaśniéj wpadał promyk ranny:
Powiédz, co myślisz, o greczynko biedna!
Czy słuchasz szmeru bijącéj fontanny,
Czy kogo płaczesz, czy myśl twa zajęta
Wieczorną ucztą, dniem Bejramu święta? (3)

Właśnie gdy xiężyc w srébrny nów zachodzi,
Nim bladém złotem swe zapełni rogi,
Post Ramadanu cały kraj obchodzi,
I grób Proroka lud nawiedza mnogi;
Każdy muślemin za swego żywota,
Choć raz przejść musi przez zbawienia wrota.

I po gościńcach, po miasta ulicach,
Ze wschodu ciągną pielgrzymy od Meki;
W znojonych czołach, w ogorzałych licach,
Widać że każdy zwiedził kraj daleki.
Za niémi idą wozy, karawany,
A każdy Hassal (*) w biały płaszcz ubrany.

Gdzie cmentarz wkoło sam cyprys obrasta,
Przy nim, wieżami, rzeźbą ozdobiony,
Bogaty Meczet wznosi się śród miasta;
W nim wiszą złotem pisane zasłony, (4)
Wklęsłe sklepienia zdobi szafir drogi,
A biały marmur wyścieła podłogi.

I w nim się modlą pobożni Hassale,
Wielbiąc Allaha za podróż szczęśliwą;
W obrzędnych sukniach ubrani wspaniale,
Ku drzwiom meczetu już spieszą co żywo
Pasza, dwór jego, i miasta Agowie;
Strofy koranu czytają Muftowie.

Poranny izan s krużganków meczetu (5)
Wiernym Proroka modlitwę zwiastował;
Blachami kryte dachy minaretu,

(*) Każdy na wschodzie odprawujący pielgrzymkę do Meki przyjmuje zarazem na siebie przezwisko Hassal.
Mœurs des Ottomans p. 61.

Wschód słońca blaskiem i złotem malował;
Miasto jak we śnie, głucha cichość wszędy,
Wszystkich zajmują nabożne obrzędy.

Psy po ulicach miasta rozrzucone
Spały, choć słońce już było wysoko;
Wtém naglym, mocnym, choć spały głęboko,
Rżeniem, tententem konia przebudzone,
Otwarłszy senne oczy do połowy,
Od ziemi ciężkie snem podniosły głowy.

Czy w dzień z mogiły jakie widmo śmiałe,
Wstało, zwiedzione cmentarzową ciszą?
Cóż tam bieleje? to gołębie białe
Jak gwiazdki śniegu na cyprysach wiszą.
Nie — to przez czarne liścia cyprysowe,
Rzędem turbany bieleją grobowe.

Coraz wyraźniéj jakiś połysk zbroi
Zdala migoce przy słońca promieniu,
Jakiś koń biały przy cyprysie stoi,
A przy nim rycerz w tureckiém odzieniu.
Koń ziemię kopie gniewnémi kopyty,
A cały pianą i znojem okryty.

Rycerz porzucił i konia i zbroje,
Wnet na cyprysie długi płaszcz zawiesza;
I podwoiwszy rącze kroki swoje,

Co prędzéj ku drzwiom meczetu pośpiesza:
Wszedł, spójrzał wkoło, i znów rączym krokiem
Wyszedł, rzuciwszy na Alego okiem.

I znowu śpieszno na cmentarz powraca,
Zdjął płaszcz s cyprysa, zbroię podjął z ziemi;
Skoczył na konia, kolcami ostrémi
Śpiął go, i cuglem na prawo nawraca;
Skoczył na ziemię, do bramy haremu
Biegł co miał siły, lecz po co i czemu?

Zastukał w bramę, i drzwi się otwarły,
Ściśnieniem ręki powitał Hafada;
Wtem Hafad skinął na dwa nieme karły,
Co mają robić giestem rospowiada.
Jeden zasuwa wrzeciądze ze stali,
Drugi rycerza poprowadził daléj.

I szli przez kręte tajemne przechody,
Aż w końcu przyśli pod parkan wysoki,
Gdzie leżą piękne haremu ogrody:
Rycerz twarz swoję ukrył w płaszcz szeroki,
Karzeł rycerza wpuścił w drzwi ogrodu,
A sam na straży pozostał u wchodu.

Rycerz w ogrodzie jak w sennych marzeniach,
Wszystko go dziwi i łechce roskoszą;
Tysiące kwiatów błyszczy po zieleniach,

Nad niémi tłumem ciągle się unoszą
Wschodnie motyle — a bystrym pólotem
Kołując, świecą farbami i złotem.

Wonią stólistnéj przychęcony róży,
Ten uwiązł na niéj jakby na lep sidel;
Ci już w skrzydlatéj znużeni podróży,
Złociste pyłki strząsają ze skrzydeł;
Za których lekkim, migotném wzruszeniem,
Same się zdają tęczowym promieniem.

Rycerz szedł ciągle, gdzie brzegiem jeziora
Bieleją wonne akacii gaje;
Dzień był gorący, i południa pora,
On raz przyśpiesza kroku, znowu staje,
Zerwał dwie białe akacii kity,
Potem je rzucił — i stanął jak wryty.

On wzrok i ucho natęża ciekawie,
Raz jakiś szelest, znów jakiś wrzask słyszy.
Czy wiatr tak głośno zaszumiał po trawie,
Że budzi echa w ogrodowéj ciszy?
Może szmer zdroju, lub dźwięk brzmiący szklanny,
W głębi ogrodu bijącéj fontanny.

Już słychać coraz wyraźniéj i bliżéj,
Jakieś uśmiéchy, rozmowy, szeptania;
Dziewice biegą, a każda co chyżéj

Jedna za drugą po trawach ugania;
W głębi ogrodu brzmią muzyki dźwięki,
Dziewice jakieś śpiéwają piosenki.

* * *

Przy słońca promieniu,
W palmowych drzew cieniu,
My kwiaty zbiéramy;
Tańcujem, śpiéwamy,
Depcąc murawy kobierce.
Choć nasze tu czoła,
Zdobi kwiatów wiele;
Choć brzmi pieśń wesoła,
Nie zawsze wesele
Brzmi nasza dusza i serce.

* * *

Choć tu uciech mamy,
I złota dowoli;
My przecież wzdychamy,
Do szczęśliwszéj doli:
Do naszych krajów rodzinnych!
My dziś piękne, młode,
Lecz gdy czas z latami
Zeszpeci urodę,
Cóż zostanie z nami,
Prócz dawnych wspomnień dziecinnych?

* * *

Co z lica rumieńców,
Co nam z ust korali?
Gdy niéma młodzieńców,
Coby nas kochali,
I byli wzajem kochani.
Haremowe salasze,
Zgrzybiałe pieszczoty,
Długie dni tęsknoty,
Oto wszystko nasze!
My żyjem dla nich i dla niéj.

* * *

Czas by pieśń ustała,
Nim Bejram z wieczora
Ogłosi grzmot działa;
Nasz czas, nasza pora,
Zbierać, pleść kwiaty do wianka.
W muślinach i szalach
Strojne jak przystało,
Po haremu salach
Przetańczym noc całą,
Wesoło zabawim do ranka.

Zlękłe, strwożone, gdy ujrzą rycerza,
W stronę za drzewa pierzchnęły dziewice;
Rycerz, gdy pieśń ich zachwyca, uderza,
Posłał za niémi ciekawe źrenice;
Lecz nic nie dójrzał, choć w bystrém spójrzeniu.
Wszystko się śmiło przy słońca promieniu.

Uposzedł daléj smutny, zamyślony,
Ścieżką wiodącą pod gaj cytrynowy;
Spoziera w koło, w te i owe strony,
Już nie tak mocno lśnił promień słońcowy.
Żadnego drzewa nie spuszcza z źrenicy,
Czy gdzie nie dójrzy znajoméj dziewicy.

Gdy wszedł do gaju, ciekowość w nim wzrasta,
Na trawie, u stóp cienistego drzewa,
Siedziała jedna, samotna niewiasta,
Z gitarą w ręku, niby piosnkę śpiewa;
A jeśli echo wiernie pieśń odbiło,
Więcéj w niéj westchnień niżeli słów było.

Przy niéj na miękkich leży tulipanach
Wschodnia gazella — wyciąga swą szyję,
I głowę składa na pani kolanach;
Wierna gazella z nią i dla niéj żyje:
Z jakąś tęsknotą w jéj oczy patrzyła,
Jak gdyby smutek swéj pani dzieliła.

Ona z swą panią śród jednych pokoi,
Sypia na miękkiéj jedwabnéj pościeli;
Pani ją sama i karmi, i poi,
Z nią swe igraszki, swe swawole dzieli;
Lecz dziś nie pieści, nie głaszcze rękami,
Cała zajęta smutnémi myślami.

Jak słaba! zda się słaniać od powiewu,
Ale w jéj piersi, w ustach jéj różowych
Mieszka talizman muzyki i śpiéwu.
Ot i śpiéw zabrzmiał śród drzew cytrynowych,
I dźwięk gitary rozdał się dokoła;
Lecz nóta pieśni nie była wesoła.

* * *

Na górach Agrafa są żyzne winnice,
Na górach Agrafa są wonne jaźminy;
W nich moi najmilsi mieszkają rodzice,
W nich mieszka najmilszy, mój luby, jedyny!

Gdy wiatry wieczorne powieją ze wschodu,
Mój luby gdy gwiazdy zabłysną na niebie;
Ja kwiaty najlepsze wybiorę z ogrodu,
I niémi pisany list poślę do ciebie.

Na góry Agrafa niech wiatry zaniosą
Te kwiaty, na mojéj niech złożą je ziemi;
Gdy gwiazdy wieczorną pokropią je rosą,
Ach myśl, żem je łzami zlewała mojémi!

Wędrowna jaskółka porzuca krzewinę,
Ku górom Agrafa swe skrzydła kieruje;
Mój ptaku! jeśli tam polecisz w gościnę,
Opowiedz tam moim co cierpię, co czuję.

Na górach Agrafa są żyżne winnice,
Na górach Agrafa są wonne jaźminy;
Czy żyją w nich moi najmilsi rodzice?
Czy mieszka w nich jeszcze najmilszy, jedyny?

Już słowa pieśni na ustach konały,
A tylko strony gitary wzruszone
Jeszcze ostatni s siebie dźwięk wylały.
Tak echo dolin pełne, przedłużone,
Zrazu głośniejsze, mniéj głośne w połowie,
Aż coraz cichsze omdleje w parowie.

Nagłym szelestem gazella strwożona,
Skryła się między drzewa cytrynowe;
Dziewica, jakby ze snu przebudzona,
Podniosła wsparta na gitarze głowę;
Patrzy, aż widzi przed sobą rycerza,
Widzi, i oczóm swoim nie dowierza.

I nieruchomie długo spoglądali,
Jak dwa posągi patrzące na siebie;
Rycerz wyciąga swe ręce w oddali,
I woła, «ja tu przychodzę do ciebie!
To ja twój Hassan! Podnieś oczy swoje,
Przypomnij, poznaj, idź w objęcia moje!»

Na ten głos znany, lecz niespodziewany,
Rzuca się Leli w kochanka objęcia:

«Ciebież ja widzę, ciebie mój kochany?
Dziś, i wtém miéjscu? — na wszystkie zaklęcia
Powiedz, jak tutaj przybyłeś w téj chwili,
Jak cię haremu straże nie zoczyli?

Siądźmy tu razem, wszak kiedyś, przed rokiem
Lubiłeś ze mną pod cieniem drzew siedzieć!»
— «Dobrze! lecz nim cię pożegnam ze zmrokiem,
Wiele ci, wiele rzeczy mam powiedzieć!
Czego z ust moich nigdy nie słyszałaś:
Ja tym nie jestem, jakim mię poznałaś.

Za wszystkie skarby Mogoła wielkiego,
Niktby nie przeszedł tych błędów ogrodu!
Ja znam je! jam je przebiegał za młodu,
Jam się tu schował, jam jest syn Alego!
Gdym się urodził, słuchaj moja miła,
Jakaś mię obca greczynka mamczyła.

Ale przez zawiść, czy przez wstręt do żony,
Pasza niecierpiał swojego dziecięcia;
Nieraz mię chłostał gniewem rospalony,
Ciało katowskie kaleczyły cięcia.
Ja do Hafada zbity uciekałem,
Wisząc u szyi drżałem, i płakałem.

Odtąd mię Hafad, jak swe własne dziécko
Przyjął, pokochał; — pamiętam, w tym czasie

Czynny Kleft ziemię napadał turecką;
Pasza w zaciętym s Kleftami zapasie,
To im odporne czasem stawił czoła,
To swe zagony zapuszczał w ich siola.

Jam się tajemnie wykradał s seraju,
Gdzie piękne wzgórza tessalskie się wznoszą;
Śród ich lubiłem błądzić ze zwyczaju,
Ach! z jakąż nową, nieznaną roskoszą,
Gdym po raz pierwszy porzucił te mury,
Patrzał na niebo, ocean i góry.

Zaledwom dzikie i głaszące szumy
Z gór spadających usłyszał potoków,
Uczułem w sobie jakąś iskrę dumy!
Gdym zoczył orła pośrodku obłoków,
Chęć lotu w sobie uczułem głęboko,
Ja chciałem z orłem latać tak wysoko!

A kiedym stąpił już na greckiéj ziemi,
Gdym jéj swobodném powietrzem oddychał,
Zda się kraj cały z wdziękami swojémi,
Do wyobraźni mojéj się uśmiéchał!
Myślałem, lepszéj nie znajdę ojczyzny,
Tu ludzie wolni, kraj piękny i żyzny.

Zbrzydły mi w końcu miękkości haremu,
To miéjsce gdziem był bity, katowany,

Ach, jam się oddał marzeniu lubemu!
Obcy śród obcych, sam przez się wygnany,
Łaknący wojny i sławy zarazem,
Chciałem na imię zarobić żelazem.

I z żądzą wojny, ze sławy nadzieją,
Jak żołnierz w Kleftów wstąpiłem szeregi,
Wnet szeregowy, a potém koleją
Gdyśmy tureckie uganiali zbiegi,
Jam w téj pogoni słynął męstwem moim,
Klefty mię wodzem wykrzyknęli swoim.

Znasz ty o luba, znasz Agrafa góry!
Raz ja na samym stanąwszy ich wierzchu,
Pamiętam, słońce zapadało w chmury,
Przy ciemniejącym, przy niepewnym zmierzchu,
Z góry wąwozem schodzącą w dolinę,
Ujrzałem piękną góralską dziewczynę.

Czegoż o luba rumienisz się, czego?
Zapewna pomnisz, kiedym zoczył ciebie,
Jak pilnie wzroku szukałem twojego!
Wieczorna gwiazda wschodziła na niebie;
I przy jéj blasku postrzegłem twe oczy,
Wzrok twój był wtedy smutny, lecz uroczy.

Lecz dość, dość o tém — wszak miłości dzieje
Zawsze też same — też łzy i westchnienia;

Nocy bezsenne, znów śmielsze nadzieje,
Potém wzajemne uściski, spójrzenia,
Nowe zaklęcia, ofiary, przysięgi,
Oto i cała treść miłośnéj xięgi!

Siwy twój ojciec obrał mię za zięcia,
Wtém nocą w dóm twój wpadł turek zdradziecki,
Wydarł cię, porwał z mojego objęcia;
Jam z mieczem zastęp pogonił turecki,
Próżno Kleftowie ich rąbią i sieką,
Już cię unieśli, uwieźli daleko!

O! gdy wieść doszła do mego ukrycia,
Że się znajdujesz w Alego haremie,
Odtąd mojego historyją życia,
Miłość i zemsta! — niech dziś Pasza drzémie;
Ja na śpiącego, jak szakal na zwierze,
Z wojskiem, z orężem napadnę, uderzę! —»

Dziewica wszystko co Hassan powiadał,
S trwogą, z roskoszą słuchała ciekawie;
Onby jéj może daléj się spowiadał,
Lecz nagle mowę uczepił w obawie:
Bo karzel u drzwi stojący ogrodu,
Świstał i klaskał, dając znak wychodu.

«Bywaj mi zdrowa! niechaj spocznie s tobą
Święta spokojność! wierz słowu Hassana!

Jeszcze o luba spotkamy się s sobą,
Jutro, wieczorem, dziś — tak, jutro zrana —
Bądź zdrowa!» i w tém lotem błyskawicy
Znikł w ciemnéj, długiéj spalerow ulicy.

A Leli za nim długo spoglądała,
Z jakimś na licu rospaczy wyrazem;
Jak gdyby wzrokiem przyciągnąć go chciała,
I jeszcze chwilę przebawić z nim razem;
Może w téj jednéj, pożądanéj chwili,
Jeszczeby cały wiek szczęścia przeżyli!

Potém s szaloną wesołością czoła,
Jakby go znowu witała uprzejmie;
Wyciąga ręce, po imieniu woła,
Myśli, że jego w powietrzu obejmie.
Biedna! złudzeniem własném żal swój drażni,
To był sen tylko choréj wyobraźni.

Tak nieszczęśliwy zdradzony od ludzi,
Gdy we śnie widzi wiernych przyjacieli;
Jakże mu błogo! on gdy się przebudzi,
W rajskiém złudzeniu zrywa się s pościeli;
W ciemności błędne wyciąga ramiona,
I senne mary przyciska do łona.

Ileż to marzeń ułudza nas we śnie,
Tęczową barwą strojąc swe złudzenie!

Lecz marzącemu o jakże boleśnie,
Gdy te pierzchają jak tęczy promienie!
Sny nas swojémi zdradzają kłamstwami,
My przecie w życiu tęsknimy za snami!

Już zmrok, na modłach dzień upłynął skoro,
Ostatnie słońce Ramadanu zgasło,
Domy ogniami wieczornémi gorą,
Grzmot dział Bejramu zapowiedział hasło.
Z miasta kto żyje, i mieszkańce kraju
Przybyli, ciągną do Paszy seraju.

U bram dziedzińca tłumne brzmią okrzyki,
Bo któż Bejramu, nie obchodzi święta?
Odgłosy bębnów, śpiéwu i muzyki,
Silna dla uszu tureckich ponęta,
Młodzież i starce wabiły z około;
Wtém Pasza błysnął śród tłumu, i woła.

«Dziś goście święto uczcijmy przystojnie,
Niechaj Bagdadzkie stół obciążą płody;
Niech nektar Moki do czar płynie hojnie,
Puśćcie fontanny! otwórzcie ogrody!
Sam tu eunuchy! nim błyśnie poranek,
Nie zmrużyć oka! dziś uczta dla branek!«

I szli tłumami na Paszy pokoje,
W rzeźbą i farbą świecące komnaty;

Stoją na ścieżaj bronzowe podwoje,
A środkiem dywan rossciełą bogaty;
Dywan wiązany z jedwabi i złota,
Dwóletnia branek czerkieskich robota.

Allahu! głośno zakrzyknie gromada, (6)
A dywan wielkiém okrążają kołem;
Młodzież po krańcach dywanu zasiada,
Powyżéj starce z ubieloném czołem.
Sam Pasza, piérwszy w biesiadników rzędzie,
Wprzód zajął miéjsce po starszym urzędzie.

Bęgalskie ognie rzęśnieją po sali,
Pasza w dłoń klasnął, «podajcie cybuchów!»
I wnet mu karły cybuchy podali.
Sam na węzgłowiu z erdredońskich puchów, (7)
Wspartą na prawym ręku trzymał głowę,
I kazał wnosić przybory stołowe.

Stół jedwabnémi obrusy zasłano,
Brzegi od sréber, a sam środek stoła
Złotem barwioną lśnił się porcelaną.
Wszystko czém tylko przepych zająć zdoła,
Wiśnie bocharskie, pomarańcze złote,
Ostrzyły w gościach do uczty ochotę.

Wszyscy weseli ucztują pospołu,
Wszyscy się rzeźwią z dziennego upału,

Skończono ucztę — i wstali od stołu.
Zaraz po uczcie, z kręglego kryształu
Chłodnym sorbetem pragnienie gasili,
A wszyscy zdrowie Ali-paszy pili.

Nakoniec Pasza w erdredońskim puchu
Topiąc się drzémał, i zasnął głęboko;
Wtém łokciem wsparty na długim cybuchu,
Zbudził się — senne wpół otworzył oko,
I mówiąc, bądźcie zdrowi goście moi,
Wyszedł do swoich sypialnych pokoi.

Goście odeszli, a karły każdemu
Świeciły w ręku trzymając kagańce.
Pusto w seraju — lecz w głębi haremu,
Jeszcze trwa uczta muzyka i tańce.
Jakby na zapas, w dzień Bejramu święta,
Grają, tańcują wesołe dziewczęta.

Lecz śród tych tańców, śród śmiéchow wesela,
Leli samotna siedziała na stronie;
Ona z drugiémi uczty nie podziela,
I twarz swą skryła w muślinnym welonie;
Jak gdyby uśmiéch tancerek ochoczy,
Niezwykłym blaskiem obrażał jéj oczy.

Martwa, bez ruchu, wzrok by omamiony
Wziął ją za mumję śród uczty stojącą

Tylko czasami jéj welon wstrząśniony
Ciężkiém westchnieniem, to łzą spadającą,
Zdradzał kamienną nieruchomość ciała,
W którém znać było że dusza mieszkała.

Już gasły lampy wiszące przy progach,
Już rączym tańcem stopa uskrzydlona,
Więcéj nie igra po śliskich podłogach.
Uderzą w bębny — i uczta skończona!
Po uczcie wszystkie branki się udały
Do wielkiéj sali, gdzie razem sypiały.

Przy łóżkach światła w nocnych lampach płoną,
To raz błękitnym płomykiem ogniska
Błysną, to znowu w swój kryształ utoną.
Przy ich to blasku spiąca odaliska,
Często sny marzy miłości, rospaczy,
A giest jéj twarzy cały sen tłumaczy.

Śpią branki, wszystkich snem zamknięte oczy,
A senne szarlat rumieni jagody;
Kiedy niekiedy lekki i uroczy,
Oddech ust słychać, jak szmer cichéj wody;
To ześliznięta z ich piersi zasłona,
Alabastrowe przeświéca ramiona.

Czasem na lica cień rzucające,
Długie ich rzęsy rozwieje westchnienie;

To z ust ich perły odsłoni błyszczące:
Tak wdzięcznie Peri zasypia w Edenie.
Snadniéj w powietrzu cichy lot anioła
Mogłbyś dosłyszeć, taka cisz dokoła.

A jednéj Leli otwarte powieki,
Próżno na łóżko rzuca się, wyciąga;
Sen od jéj oczu i myśli daleki,
Tylko jéj sennym źrenicóm urąga.
Serce jéj mocno, tak gwałtownie biło,
Że samém biciem senby odstraszyło.

Wstała, i nogą tak lekko stąpiła,
Jak biały listek gdy spada na ziemię,
Listek narcysa; — ona omyliła
I psy i straże drzémiące w haremie:
Wyszła, rzucony płaszcz na piersi spięła,
I cicho furtkę za sobą przymknęła.

PIEŚŃ KLEFTÓW.

My greccy górale,
Jak orły we chmurach,
Jak w morzu korale,
Mieszkamy po górach,

W nich nasza kwitnie swoboda!
Po całym Epirze;
Sąsiedzi okolni,
W tureckim jassyrze,
Dziś jęczą — my wolni,
Jak to powietrze i woda!

Dziś Pasza Janiny,
Haremy buduje;
W nich greckie dziewczyny
Więzi, przechowuje,
Dla swojéj żądzy, lub dumy.
On wielki, potężny!
A przecie zdaleka,
Choć silny i mężny,
Od Klefta ucieka,
Jakby od moru lub dżumy.

O! Kleft nie niewiasta,
Zna się na żelezie;
On w tureckie miasta,
Niesie mord i rzezie,
Palącą niesie pożogę.
Trafna ich rusznica,
Straszny grzmot janczarki;
Lecz nasza konnica
Wpada im na karki,
Szerząc zniszczenie i trwogę.

Gdy legnie Kleft w boju,
My dzieląc trud miły,
Na górach, przy zdroju
Kopiem dół mogiły,
W niéj Kleft spoczywa zabity.
Hymn smutny, żałobny,
W płaczliwym brzmi chórze;
Nasz napis nagrobny
Nie w miedzi, marmurze,
Lecz w sercu mężnych wyryty.

My dzisiaj s tych wzgórków
Orężnie, i zbrojnie,
Wpadniemy na Turków;
Niech drzémią spokojnie,
My ich i we śnie mordujem.
Nasz kindżał nie tępy
Już krwawe zna proby!
Hej orły i sępy,
Zaostrzcie swe dzioby!
My dla was ucztę zgotujem!

Tak Klefty w nocy swé pieśni śpiéwali,
A wszyscy pilnie za wodza roskazem,
Strażnicze ognie po górach trzymali;
A każdy błyszczał zbroją i żelazem.
Nie jeden drzémiąc wsparty na żelezie,
Marzył jutrzejsze wycieczki i rzezie.

Wtém hasło baczność w obozie zabrzmiało,
Cóż tam się bieli z za dalekich wzgórków?
Czy to łabędzi stado przeleciało,
Płaszcze albańskie, czy zawoje Turków?
Wkońcu wołali Klefty naprzemiany,
To Hassan, wódz nasz za Turka przebrany!»

« Klefty słuchajcie! nabić karabiny,
Strażnicze ognie zagasić po górach;
Osiodłać konie — w chwilę, w pół godziny
Silniejsze ognie rospalim na murach.
Ognie na murach seraju Alego,
Gdzie jest mój sługa, wołać sługi mego!

Klefty słuchają, lecz w tłumie roskazów
Zgadnąć nie mogą, co głos wodza znaczy;
A z niewyraźnie jąkanych wyrazów,
Z oczu w nim widzą gorączkę rospaczy.
Tylko oczyma powłoczył po niebie,
I kazał słudze zwlekać szaty s siebie.

Ze wzrokiem wzgardy razem i tęsknoty
Zrzucił strój turka, i cisnął pod nogi;
A kaftan, jaki noszą Sullioty,
Wdział na się — niby miał się znów do drogi;
Jakoż i poszedł — nieznużony biegiem,
Długo wciąż morza przechadzał się brzegiem.

Noc była cicha — Archipelag cały
Zdał się pogrążać w letargu uśpienia;
A fale morskie tak cicho szumiały,
Jak wpół stłumione kochanki westchnienia;
Jak dźwięk gitary s pieśnią majtka w zgodzie,
Dalekiém echem odbity po wodzie.

I ze wszystkiémi swojémi wyspami,
Które jak piastun na swém łonie trzyma;
Jak srébrny dywan naszyty perłami,
Błyszczał — i z głębi modrémi oczyma
Poglądał na nie, jak fala ich drzewa
Malowne na nim zwiewa, to rozwiewa.

A człowiek między scenami takiémi,
Dopóty zimném okiem je ogląda;
Aż nim myślami ulecíawszy z ziemi,
Spójrzy na niebo, i być w niém zażąda!
Choć sam śmiertelny, w niebieskim zachwycie
Marzy dla siebie nieśmiertelne życie.

Lecz myśl Hassana od nieba daleka,
On całą duszą do ziemi przybity,
Myślą ku ziemskiéj kochance ucieka.
Ach! kogo oczy podbiły kobiéty,
Dla tego świata zewnętrznego niéma:
Wszystko w niéj widząc, patrzy jéj oczyma.

Kto żadnych skarbów nie zebrał s powicia,
A dla przyszłości wszystko ważyć gotów;
Taki sam w sobie aż nadto ma życia,
By go od cudzych pożyczał przedmiotów:
Zbytku nieszczęścia, lub szczęścia, potrzeba,
By całą myślą ulecieć do nieba!

Już nad Hassanem ranna weszła zorza,
On spójrzał na nią — serce w nim zadrżało.
Ciche szemranie drzémiącego morza
Jego burzliwéj duszy urągało:
W któréj wylęgła jego przyszłość cała,
Ręką nadzieci swój raj wskazywała.

Hassan w marzeniach zabłądził daleko,
Znów zorzę spotkał jego wzrok ponury;
I jak lunatyk z rostwartą powieką,
Po nocy darł się przez skały i góry;
Aż sszedł w dolinę, skąd wzrok odkrył jemu,
Błyszczące mury Alego haremu.

Harem śpi cały — jakże noc pogodna!
Rzeźwiąc się ciepły wieje wiatr ze wschodu;
Jezioro ciche, przejrzyste aż do dna,
Jakby źwierciadło stoi śród ogrodu.
Tylko płaszcz jakiś s po za drzew bieleje,
A wzdęty wiatrem długą polą wieje.

To odaliska! lecz czemuż tak blada?
Już niespokojna, a jeszcze tak młoda!
Na twarz jéj martwo blask xiężyca pada.
Tak marmurowy indyjski pagoda,
Gdy noc miesięczna, za gazy pokryciem
Igra od światła pożyczoném życiem.

Ciagłém westchnieniem pierś się jéj wstrząsała,
Jak dwie u brzegu kołysane fale;
Słucha, ktoś idzie? z bojaźni drzy cała,
I wnet zakrzyknie w radości zapale:
To on! mój luby, o chwilo żądana!
I już spoczęła w objęciach Hassana.

— «Ty i tak późno — czyś zapomniał Leli?
Jakże Hassanie długo cię czekałam!
Patrz! już na wschodzie ranny świt się bieli,
A ja nie spałam — o tobie myślałam!
Jakże tu ciemno było mi bez ciebie,
Teraz już jedną więcéj gwiazd na niebie.»

— «O nie jak gwiazda, przychodzę tu raczéj
Jak krwawą wojną grożący kometa!
Spójrzyj! a wyraz szaleństwa, rospaczy,
Znajdziesz w mych oczach, — tak! nim z minareta
Lampy zabłysną, i blask swój podwoją,
Muszę cię porwać — i unieść jak swoją.

Wprzód ciężki dżeryd ciśnięty zdaleka (8)
Pierzchnie jak strzała z drobnych rąk dziecięcia,
Utkwi, i zadrga aż w piersi człowieka,
Nim kto z mojego wydrze cię objęcia!»
— «Ach puść mię! nigdy tak mi źle nie było,
Cóś mi tak ciemno w oczach się zrobiło!»

— «Czyś zapomniała powietrznego posła?
Przypomnij! wczora bagdadzka gołąbka (9)
Na skrzydłach list mój do ciebie przyniosła:
Piórka jéj białe jak śnieg twego rąbka.
A list pisany w jakiéj był wymowie,
Tego sam język kwiatów nie wypowie!

Zamilkli razem — śród łez i wzdychania,
Po chwili s sobą rozmawiać zaczęli;
To powtarzając częste całowania,
Wisząc u szyi wzajem się objęli,
Gdyby tak objąć! i przez długie lata
Żyć w tym objęciu aż do końca świata!

Jakaż to piękna w objęciach mężczyzny,
Leci ze wschodów krużganku haremu?
Blada, jak rąbek jéj nocnéj bielizny,
S trwogą, ze drżeniem tuli się ku niemu;
A on jéj szepce nie bój się kochana!
To piękna Leli na ręku Hassana.

Już dzień był — Pasza ze snu przetarł oko,
I w rannéj, w kwiaty wytykanéj szacie,
Wstał, spójrzał, w okno — «już słońce wysoko!
I wielkim krokiem chodził po komnacie.
Znów spójrzał w okno, i wstecz cofnął kroku,
Tygrysia wściekłość iskrzyła się w oku.

Héj straży moja! a straż śpi spokoynie,
Janczar po uczcie ciężki sen oddycha;
Któżby pomyślił o zdradzie, lub wojnie,
Wieczor był piękny, noc tak była cicha!
Nie jeden może we śnie zamiast zbroi,
Brankę uściska, sny miłości roi.

Od gniewu Paszy twarz splonęła cała,
Chwyta łuk, strzałą, przez okno wycelił;
Naciągnął majdan — szyba zabrzęczała!
Niktby tak trafnie z janczarki nie strzelił.
Strzała co szybę w téj chwili przebiła,
Razem Hassana i Leli zabiła.

Héj straży moja! zbudziły się straże,
Senne eunuchy szły za nią i drżały.
Pasza ich woła, znów im odejść każe,
Sam wbiegł na ganek, i zdyszany cały
Lecąc pomiędzy krużgankowe słupy,
Uczepił nogą dwa leżące trupy.

Leli w bieliznie świeżą krwią zbryzgana,
Z opartą głową o kamienne stopnie,
A jedną ręką u szyi Hassana,
Wisząc leżała. — Jak widzieć okropnie!
Piękność, dla której nasze serce biło,
A s której całe życie ustąpiło.

Pasza ją objął, całował, i łzami
Rzewnémi zlewał zimne Leli ciało:
On gorącémi grzejąc je ustami,
Chciał wskrzesić serce co już bić przestało.
Załamał ręce, wzrok od niéj odwrócił,
A na Hassana wściekłém okiem rzucił.

Wtém oku była cała wściekłość żmii,
Na pierś mu wstąpił — i zdeptał ją nogą!
Wtém na nim spostrzegł wiszący u szyi
Złoty amulet — ach! pamiątkę drogą
Pierwszéj swéj żony! — wspomniał młodość swoję,
Swą żonę, syna — i płakał we dwoje.

I długą brodę darł, szarpał w rospaczy.
Cóż mi zrobiła niewinna dziewczyna?
Allahu! kto mi tę zbrodnię przebaczy?
Jam zabił razem kochankę i syna!
Co mojéj duszy piérwszy pokój wróci?
Ziemia mną wzgardzi, niebo mię odrzuci!

Szły dni i lata — Pasza od dnia tego
Ni razu nie był widziany w Seraju,
Cichość mieszkała w seraju Alego.
On tak przemożny bogacz w swoim kraju,
Wszak mu sam Sułtan często dawał ucha,
I z nim dym pijał z jednego cybucha. (10)

W kilka dni potém — kiedy w jednych wzrasta
Ciekawość wieści, a drugich wieść nudzi;
Cudowny Fakir zjawił się śród miasta, (11)
Złote jałmużny sypał między ludzi.
A jakby wszystko jemu los odebrał,
Sam o garść soli, o chleb u nich żebrał.

Raz s karawaną idącą do Meki,
Gdy już wielbłądy pomdleli od znoju;
Kiedy pielgrzymi śród południéj spieki,
W cieniu drzew wodę czerpali ze zdroju;
Szedł i ów Fakir, odarty, ubogi,
Rozmawiał s swoim towarzyszem drogi.

«Drugi raz noszę już pielgrzymie szaty,
Przez morza lądy długom odbył drogę;
Dziś w inne chyba powędruję światy,
Bo tu już szczęścia spolować nie mogę!
Już ciało moje nurt zbawienia skropił,
A jeszczem troski mojéj nie utopił.

Byłem ja w Mece — tam pomnę o zmroku
Ciągłéj pielgrzymki utrudzony biegiem,
Siadłem na brzegu, świętego potoku:
Sen mię zachwycił nad potoku brzegiem,
Spałem — wtém we śnie z górnego obłoka
Stępującego ujrzałem Proroka.

Opuść zawołał, tych zdrojów wybrzeże!
Nie ulżą tobie te święcone zdroje;
Gdzie bram Edenu święta Peri strzeże,
Tam ci ich złote zamknięte podwoje.
Ani huryska skromna, zrumieniona
Po zgonie ciebie przytuli do łona!»

Widziałem we śnie, szczęśliwy kto marzy!
Eden, Allaha tron wielki, wspaniały;
Przed jego okiem, stojące na straży,
Serafy skrzydłem twarz swą zasłaniały.
Ach! sen ten precz już odleciał ode mnie,
Cóż mi po raju? kiedy piekło we mnie!»

Zemdlony Fakir błagał u pielgrzyma,
By wodą zdroju ochłodził mu czoło;
Lecz nim dał wody pielgrzym — on oczyma
Konającémi zatoczył w około.
Ci co z nim byli, z ust jego słyszeli
Jakieś imiona Hassana i Leli.

NOTY DO BEJRAMU.

(1) *Święto Róży na Wschodzie przypada wiosną, gdy kwiaty kwitnąć a murawa zielenieć poczyna. — Mor (Moor) w swoim poemacie (the light of haram) pięknie go opisał:*

The Valley holds ist Feast of Roses.
That joyous time, when pleasures pour
Profusely round, and in their shower
Hearts open, like the Season's Rose.

(2) *Klefty tak nazwani górale Grecii. Ci żyjąc w górach Tessalii Olympu i Agrafa, ciągłemi napadami strasząc Turków, i napadani bezskutecznie, najdłużéj zachowali swoję niepodległość. — Patrz o nich obszerniéjszą wiadomość w przemowie P. Alexandra Chodźki załączonéj przy wzorowym jego przekładzie pieśni Nowo-greckich.*

(3) *Bejram, karnawał, zapusty Muzułmańskie — gdy post Ramadanu się kończy a nadchodzi dzień Bejramu, przy zachodzie słońca odgłosy harmat zwiastują początek święta — przytém rzęsisto oświecają meczety, a strzelanie z broni ognistéj przez całą noc słyszeć się daje.*

(4) *Wewnętrzne mury świątyni po turecku (kéabéh) przykrywają się materyją czarną, jedwabną, na*

której są wyszyte rozmaite wersety i treści rozdziałow Koranu. Zasłony te jak w Mece co roku odmieniają się, a dawne i podarte pielgrzymóm czyli Hassalóm na wagę złota przedają.

Mœurs des Ottomans p. 45.

(5) *Izan albo ezan, hasło modlitwy. Turek ze wschodem słońca wstępuje na dach meczetu i przeraźliwym głosem wyśpiewuje ezan w następnych słowach «Chodźcie na modlitwę, śpieszcie do świątyni! obudźcie się! słuszną jest modlitwę nad sen przekładać.»*

(6) *Allahu! wykrzyknik poprzedzający wszystkie modlitwy i uczty Muzułmańskie.*

(7) *Gęś Erdredonowa mieszka nad brzegami morskiemi północnéj Europy, Azyi i Ameryki, a mianowicie w Islandyi Laponii i Szkocyi, puch téj gęsi słynie w handlu pod nazwiskiem Erdredonu (Eidedaunen), a tak jest sprężysty, iż do zrobienia całkowitéj pościeli pięć funtów są dostateczne.*

8) *Dżeryd, toż co włócznia, nasz dziryt s Tureckiego (Djerrid albo Jarreed).*

9) *Gołębie z Bagdadu i Babilonu jako więcéj nad inne przemyślne, używane są na Wschodzie do*

przenoszenia listów z jednego miéjsca na drugie. Gołąb' przywykły i przyuczony do podobnéj posługi, nigdy jéj nie uchybi. Przywiązują mu list do skrzydła, on odniosłszy go na miéjsce naznaczone, nazad niezwłocznie powraca. — Za czasów Starożytności gatunek gołębi pocztarskim zwany (columba tabellaria) sławny był przenoszeniem listów z Alexandryi do Alepu.

(10) *Palić fajkę z jednego cybucha jest przysłowiem u Mahometanów oznaczającém dawną między dwóma osobami zażyłość, toż co nasze «jeść z jednéj misy.»*

11) *Fakir, żebrak, pokutnik.*

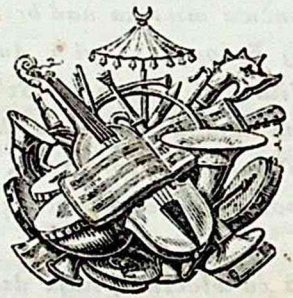

Z LORDA BAJRONA.

Z LORDA BAJRONA.

WIĘZIEŃ CZYLLONU.

Włos mój już siwy — lecz nie długie lata,
Nie przez noc jedną tak go wybieliły
Widma bojaźni, gdy strach s całéj siły
Nagle w niemęskie serce zakołata.
Wzrost mój się chylił — lecz nie życia trudy
Ciało me zmogły, nie chorób cierpienia;
Lecz ta rdza ciągła spoczynku i nudy,
Co zwykle trawi ofiarę więzienia.
Los mój dzieliły nie jedne ofiary,
Równie wygnani s powietrza i ziemi;
Lecz że cierpiałem dla mych ojców wiary,
Lżéj było walczyć z więzami długiémi.
Ojciec dał głowę pod miecz na szafocie,
Za to że nie chciał zaprzeć zdania swego;
I s téj przyczyny, wszystkie dzieci jego
Lęczały długo w więzienia ciemnocie.

Było nas siedmiu — bracia młodsi byli,
Moja przekwitła, ich młodość kwitnąca;
I jak zaczęli oni, tak skończyli
S prześladowaniem łamiąc się do końca.
Jeden w płomieniach, dwóch na polu chwały
Krew swą przelało — wszyscy równie stali,
Śmiercią rodzica za Boga skonali,
Któremu czesci wrogi zaprzeczały.
Z losu więźlenie było trzech udziałem,
S których żyjący ja jeden zostałem.

Jest siedém kolumn gotyckiéj struktury,
Pośród starego Czyllonu więzienia;
Jest siedém kolumn, których siwe mury
Jakieś pochmurne światło opromienia.
Snać promień słońca zbłąkał się w swéj drodze,
I wpadł w tę grotę przez szczelinę ściany;
Tam jak meteor na bagnach zbłąkany,
Wciąż po wilgotnéj czołga się podłodze.
W każdéj kolumnie jest kruk zakrzywiony,
Na każdym kruku łańcuch zawieszony,
A każdy pierścień łańcucha jak żmija
Żelaznym zębem do ciała się wpija.
Ząb ten na nogach dotąd się czerwieni,
Choć już oddawna zdięto z nich okowy:
A dotąd jeszcze blask obraża dniowy
Wzrok mój odwykły od słońca promieni!
Jak długie w więzach przecierpiałem lata,

Nie wiem — bo z żalu liczbę ich straciłem,
Odtąd po śmierci ostatniego brata,
Żywy s trupami w tym więzieniu żyłem.

Trzech nas do słupow, jak jakich zbrodniarzy,
Wszystkich osóbno uwiązano zrazu;
Ześmy niemogli, podobni do głazu,
Ni kroku ruszyć ni widzieć swych twarzy.
Chyba przy świetle co idąc skróś ziemi,
Tak strasznie blado, tak ciemno świeciło,
Że w swoich oczach byliśmy obcémi.
Ręce związane — serce wolnie biło!
Jeszcze nas zrazu to jedno cieszyło,
To, żeśmy mogli brzękając okowy,
Mówić, i słuchać wzajemnéj rozmowy.
Nieraz śpiéwana pieśń rycerskiéj treści,
Lub z gminnych podań krajowe powieści,
Ucho bawiły, za duszę chwytały.
Lecz i te z czasem obmierzły, schłodniały,
A głos nasz przejął ton dzikiego brzmienia,
Niby ton echa od murów więzienia.
Nie był to, może to było złudzeniem
Głos pełny, brzmiący, jak niegdyś, przed laty,
Gdyśmy nie gorące powietrza pragnieniem,
Jeszcze nie znali tych murów i kraty.

S pomiędzy trzech nas ja najstarszy byłem,
Więc ich jak mogłem nadzieją cieszyłem.

I każdy kryjąc boleść co go tłoczy,
Cieszył mię wzajem, a sam płakał skrycie.
Najmłodszy ojca ulubione dziecie,
Że miał błękitne naszéj matki oczy,
Twarzą i głosem podobny był matce.
Jego los smutny czułem duszą całą,
Zaprawdę serce patrząc bolało,
Takiego ptaszka w takiéj widzieć klatce!
A on tak piękny był jako pogodny
Dzień dla sokoła, gdy wolny, swobodny.
Jak dzień polarny, co zachodu słońca
Wprzód nie zobaczy, aż nim lato minie;
Bezsenne lato, które dniem bez końca
Płonie, przyświéca północnéj krainie.
Taka pogoda była jego czoła,
Tak dusza czysta, taka myśl wesoła.
On i łez nieznał; — szczęśliwe stworzenie
Co wciąż uśmiéchem zbywa smutki swoje!
Łzy tylko chował na drugich cierpienie,
I wtedy tylko wylewał ich zdroje.

Drugi miał różną, więcéj męską duszę,
Zdolną się ćwiczyć w twardéj losów probie;
Skłonną wycierpieć najsroższe katusze,
I świat do walki wyzwać przeciw sobie.
Lecz onby wolał wprzód z orężem w ręku
Skonać, niż gnuśnie tak rdzewieć w kajdanach.
Umysł niezgięty w złych losu odmianach,

W mych oczach wkońcu zwiędniał od ich szczęku.
I jam też więdniał! — lecz cierpiąc kryjomu,
Przez żal, przez litość musiałem w tych murach
Cieszyć te drogie relikwije domu.
On z młodu piérwszym był łowcem na górach!
Gdzie w skałach śliska wykręca sie droga,
Tam ścigał wilka, lub gonił za łanią;
Dziś to więzienie było mu otchłanią,
A złém najgorszém uwięziona noga.

Jest przy Czyllonie lemańskie jezioro,
Tysiąc stop w głębią jego wielkie wody
Idą, z dna piasku swoje zrzódła biorą;
Wracają, szumią, wrą, lecą w zawody.
A wał Czyllonu graniczy i leży,
Tak blisko krętych jeziora wybrzeży,
Iż mur i woda podwójne więzienie
Zda się dla ludzi tam budują sobie,
By w niém mieszkali jak w żyjącym grobie,
Nad nami czarne wisiało sklepienie,
Spodem błyszczały jeziora przestrzenie.
A tam war wody, jak stróż naszéj groty,
I dniem i nocą szumiał nad głowami,
Rażąc nam ucho ciągłémi łoskoty.
Raz wielki bałwan wydęty wiatrami,
Przez kratę cisnął bryzg wody przed nami,
I szedł szalejąc szturmować o chmury.
Wstrząśnione więzień pochwiały się mury,

Zdało się, że się rospadną na ćwierci.
Jam na tę scenę z uśmiéchem spoglądał!
Bo któżby w duszy wtedy nie zażądał
Mającéj z więzów uwolnić go śmierci?

Słuchajcie! co się z moim bratem stało:
Już wielkie jego serce upadało,
A głód mu siły ostatnie odbierał;
Nie żeby w karmi jak dziécko przebierał,
Gdyż nieraz dzieląc łowieckie wyprawy,
Smak nasz był przywykł do myśliwéj strawy.
Lecz tam, nie z łani wydojoném mlekiem,
Spleśniałą wodą s fosy nas poili;
A chleb nasz czarny, jakim nas karmili,
Wyglądał, jakby od stu lat, przed wiekiem
Już był moczony niewolników łzami:
Albo od czasu, jak myśl zapamięta!
Gdy pierwszy człowiek własnémi rękami
W lochach zamykał ludzi jak źwierzęta.
Lecz nie! — nie karmi brak go tak wychudził,
Nie z ziemskiéj treści wielka dusza jego
Stworznoną była! — on w pałacach nudził,
Gardził powietrzem uwięzioném w murach;
Uciekał w pola, jedynie dla tego,
By pełniéj, wolniéj odetchnął na górach.
Po cóż odwlekać straszne prawdy słowo?
On umarł — z żalu do reszty się zmogłem;
Jak trup zwieszony nad zmarłego głową,

Drżałem, drętwiałem — i umrzeć nie mogłem.
Chciałem, za słabe były siły moje,
Rozbić mój łańcuch, rozłamać na dwoje.
On umarł — wnet mu więzy otworzono,
I ciało jego ziemią przyrzucono,
Tą samą ziemią z naszego więzienia!
Ja ich żebrałem, jak o dar, by ciało
Jego gdzieś daléj, pod oknem leżało,
Gdzieby dochodził przecie blask promienia
Śmieszna mysl! — lecz mnie tak się wtedy zdało,
Że i po śmierci jego pierś tak wolna,
W takiém więzieniu spoczywać niezdolna!
Wolałbym milczeć — bo gdy ich błagałem,
Zamiast litości, śmiéch tylko słyszałem,
Zimno się śmieli — i trupa grzebali —
Gorzko jest, komu tak nędzną się zdarza
Widzieć mogiłę tych cośmy kochali!
I próżny łańcuch nad nią dłoń grabarza
Zwiesiła. — Właśnie to pomnik zbrodniarza!

Lecz on, nadziei kwiat nad wszystkie kwiatki,
Pieszczota wszystkich, najmilszy, jedyny,
Wierny piękności obraz naszéj matki,
Kochanek ojca i całéj rodziny.
Cel mojéj troski, nadziei ostatni!
Całe me życie ja w siebie zebrałem
Abym doczekał — ach niedoczekałem!
Chwili gdy wyjdzie s téj żelaznéj matni.

On co zachował do ostatniéj chwili
Tę myśl wesołą cośmy w nim lubili,
On też upadał ofiarą niewoli,
W oczach mych więdniał i gasnął powoli.
O Boże! straszny to widok sam w sobie,
Gdy s ciała dusza uchodzi człowieka,
W jakim bądź kształcie, w jakim bądź sposobie.
Ja ją widziałem gdy ze krwią ucieka,
Ja ją widziałem na przepaściach wody,
Walczącą s szałem morskiéj niepogody;
Aż ją w szaleństwie rospaczy objęły
Fale, i paszczą śpienioną połknęły.
Widziałem chore trupie Grzechu łoże,
Gdy się pasował z widmami sumnienia.
Okropne sceny! — lecz widok cierpienia,
Łez, żalu, s témi mieszać się nie może!
On konał — smutek spokojny, łagodny
Twarz jego lekką powlekał żałobą;
Jakby się troszczył, a wzrok miał pogodny,
Za témi, których porzucał za sobą.
Rumieniec co wciąż jemu lica krasił,
Był tylko śmierci szyderstwem — nic więcéj!
Bo wnet swą barwę gasił i zagasił,
Jak słaby promień pierzchającéj tęczy
A takie światło z oczu jego biło,
Że i w więzieniu zda się widniéj było!
Żaden jęk, żadne sarkające słowo,
I żadna skarga nad niewczesnym skonem

Z ust mu nie wyszła — choć mdlejącym tonem
Mówił, a jeszcze cieszącą rozmową
Głaskał mą rospacz; — wtém westchnął, i głucho
Pół-echem tylko ozwały się mury:
Był to przedśmiertny słaby jęk natury!
Na głos westchnienia wytężyłem ucho.
Długo słuchałem — i nic nie słyszałem!
Ja krzyczę, wołam — mnie się jeszcze zdało,
Że w moich uszach jego słowo brzmiało.
Chciałem biedz, lecieć — lecz, ja zapomniałem
Że jeszcze łańcuch na nogach mi cisnął.
Trąciłem nogą — i łańcuch mój prysnął!
Biegę — przybiegam — on umarł. — ja byłem
Jeden żyjący, z jedną duszą żywą;
Ciężkim oddechem jeden tylko piłem
Stęchłe, zatrute powietrze więzienia.
Ostatnie, jedne najdroższe ogniwo
Między mną, między granicą stworzenia,
Co mię do życia wiązało jedynie,
Pękło, prysnęło w téj czarnéj godzinie!
Jeden na ziemi byłem od téj chwili,
A bracia moi oba już nie żyli.
Wziąłem za rękę co zimna leżała
Na trupiéj piersi, oblałem ją łzami.
Lecz wnet i moja okrzepła, schłodniała,
I zdało mi się że już byłem w grobie;
Lecz jeszcze, jeszcze czułem życie w sobie.
Wściekłe uczucie! kiedy już poznajem,

Że co kochamy, co nas kocha wzajem,
Więcéj nie będzie już dla nas i z nami,
Już nie ożyje — w rospaczy zawarłem
Wszystkie dni moje; — czemuż nie umarłem?
Wiara co weszła po nadziei skonie,
Ta mi wstrzymała samobójcze dłonie.
A co się potém uczuło, myśliło,
Niepomnę, pamięć stępiała w żałości.
Dla mnie powietrza i światła nie było,
Wkońcu już czułem nawet brak ciemności.
I żadnéj myśli, uczucia żadnego
Nie było we mnie; — martwy jak ta skała
Dzika, niepłodna, którą mgła obwiała,
Żyłem, niewiedząc po co, i dla czego?
Pośród kamieni sam jak kamień stałem.
Wszystko, co tylko dotknąłem, widziałem,
Tak było białe, tak blade, tak siwe!
Ni to noc była, ni dnia światło żywe;
Ni to blask dzienny od lampy promyka,
Co w nocy drażni oczy niewolnika.
Lecz czczość, co całą przestrzeń pochłonęła,
Gdzie nieruchomość bez miejsca spoczęła.
Był to kraj jakiś bez słońca pochodni,
Bez gwiazd, xiężyca, bez ziemi — gdzie niéma
Czasu, stworzenia, ni cnoty, ni zbrodni.
Lecz cichość, oddech co s piersi olbrzyma
Wyszedł, i uwiązł na ustach zamarły.
Morze, którego wody się zaparły,

I stały, aż nim w jedne wielkie bryły
Zlały się razem — zastygły, i gniły.
Raz nagle w głowie, w myśli rozwidniało,
Słyszałem ptaszka jakiegóś śpiewanie;
Co kiedy ucho wdzięcznego słyszało,
Wszystko w niém było! — znowu byłem w stanie
Rospoznać dawne, znajome przedmioty.
Znowu ujrzałem mur, kratę méj groty,
I ten sam promień, słońca, co s swej drogi
Zbłądził, i leżał śród mokréj podłogi.
Raz przez szczelinę, skąd się blask ten wlewał,
Postrzegłem ptaszka, siedział w niéj, i śpiéwał.
Piękny, miał piorka błękitne s czarnémi,
Zda się był więcéj swojski jak na drzewie;
Ja piękniéjszego nigdy nie widziałem!
On tysiąc rzeczy mówił w swoim śpiéwie,
Przynamnie dla mnie — ja go rozumiałem!
Snać on samotny był jak ja na ziemi,
Chociaż w połowie mniéj smutny ode mnie.
On, gdym już niemiał nikogo na świecie
Coby mię kochał, polubił mię przecie;
Ja tego ptaszka lubiłem wzajemnie.
On jakieś światło na duszę mą rzucił,
On mię uczuciu i myśli powrócił.
Byłże on wolny? może przez swawolę
Wybiegł s swéj klatki, by śpiéwać nad moją?
Ptaszku mój! znając tak dobrze niewolę,
Nie mogłbym tęsknić nawet i za twoją.

Może on tylko pod postacią ptaka
Był gościem z raju? o Boże myśl taka!
Przecież gdym płakał i śmiał się zarazem,
Myśl ta roskosznym stała się obrazem:
Że jeszcze do mnie dusza mego brata.
Przyszła w gościnę, aż nie s tego świata!
Lecz raz gdy ptaszek w górę, w górę leciał,
Postrzegłem błąd mój w złudzeniu stokrotnym.
Gdyby był brat mój. Onby nie odleciał,
Tak mię nie rzucił podwójnie samotnym!
Samotnym, jak trup po swoim pogrzebie,
Jak jeden obłok na ogromném niebie,
Jak w dzień słoneczny jedna chmura mglista,
Gdy reszta nieba pogodna i czysta;
Co Bóg wie po co zjawia się? gdy wkoło,
W niebie na ziemi tak jasno, wesoło!

Wtém nowa zmiana zaszła w moim losie.
Widziałem litość w dozorcach więzienia;
Oni tak zimni na widok cierpienia,
Już przy mnie dzikość miękczyli w swym głosie.
Przecież tak było; — więzy me skruszone
Gdzieś na podłodze bezczynnie leżały.
Niby to wolny, w tę i ową stronę
Chodziłem; nieraz dzień przechodzę cały,
Odpocznę chwilę, znów wstaję na nogi,
I zbijam mokre więzienia podłogi;
To siedém kolumn raz obejdę kołem,

I znów powracam, skąd chodzić zacząłem.
Lecz wciąż musiałem z jakąś stąpać trwogą,
Bym grobów braci nie zdeptał mą nogą,
A ta myśl nieraz siły mi odjęła,
Nieraz tak silno mój oddech ścisnęła,
Iż go nie mogłem wytchnąć piersią całą;
A chore serce drętwiało — i mdlało!

I raz przechadzką zaszedłem pod wały.
Nie żebym stronił od tych miejsc zdaleka,
Gdzie ręce moje wszystko pogrzebały,
Co mię kochało w postaci człowieka.
Co mi z wolności? gdy ta ziemia cała
Szerszém więzieniem tylkoby się zdała!
Gdzie krewnych, ojca, ni dzieci nie było,
Nic słowem, coby mię do niéj wabiło!
Lecz od lat tylu zamknięty w te mury,
Byłem ciekawy, przez okno, z za kraty
Spójrzeć, i widzieć te olbrzymie góry,
Na które patrzeć lubiłem przed laty.
Spójrzałem — już mi przed oczyma były!
Zawsze też same, nic się nie zmieniły.
I śnieg ten samy leżał na ich czole,
Śnieg lat tysiąca; — a u stóp ich w dole
Błyszczy jezioro; — nurt tocząc wspaniale
Tuż za niém Ronu błękitnieją fale.
Słyszałem dobrze, z jakiémi łoskoty
Druzgotał drzewa, przesadzał przez groty.

Biały mur miasta przeświecał się w dali,
Bielszy od muru lśnił żagiel na fali.
Tam pośród wielkiéj jeziora odnogi,
Wznosi się wyspa nad wodne topiele:
Mała, zielona zdała się niewiele
Szérsza od mojéj w więzieniu podłogi.
Na niéj widzialem trzy wysokie drzewa,
Z gór wiatr wiejący ich liście powiewa;
Przy nich tłum zrzódeł, tłum kwiatów na błoni,
Tysiącznéj barwy i roskosznéj woni.
Wesołe ryby pod mur podpływały,
Grając swobodnie w wodach się pluskały:
Orzeł, jak jezdziec pędząc wiatr po chmurach,
Nigdy nie leciał na tak rączych piórach!
Leciał, i ku mnie swe skrzydła obrócił.
Patrzałem — łzami oko się zalało,
Padłem na ziemię — ach! bo mi się zdało
Żem jeszcze świeżych więzów nie porzucił!
Rzuciłem okno; — s wstydem wyznać muszę,
Że znowu ciemność mojego więzienia
Jakby całunem padła na mą duszę.
Straszna, okropna, grobowa ciemnica!
Przecież w ciemności pragnęła spocznienia
Światłem i łzami znużona źrenica.

Były tygodnie, miesiące, dni, lata,
Lecz ich rachuba wypadła mi z myśli,
A z nią nadzieja oglądania świata.

Wkońcu dozorce moi do mnie przyśli,
I zwiastowali wolność! — ich przybycie,
Ich radość nawet dość zimno przyjąłem.
Gdyż w moim stanie, już mi jedno było
W więzach, czy bez nich smutne płużyć życie.
A serce tak się od bolów zdrętwiło,
Że już w rospaczy podobać zacząłem!
Odkąd dozorce ze mnie więzy zdjęli
Nim od żelaza zamknęły się blizny,
Mnie się zdawało, że oni znów chcieli
Wyrwać mię z domu, z drugiéj méj ojczyzny!
Gdyż jak pustelnik nieznany nikomu,
Żyłem tu, jakby w swoim własnym domu.
S każdym pająkiem ja w przyjaźni żyłem,
Nieraz pamiętam, z roskoszą patrzyłem,
Gdy mysz igrała przy świetle xiężyca,
I czemuż mogłem ja mniéj czuć jak oni?
Wszyscyśmy do téj przywykli ustroni.
Ja król ich rodu! człowiek, gąsienica,
Mogłem ich zabić! a przecie jak w grobie
My s sobą w zgodzie, w pokojuśmy żyli!
Ja i mój łancuch jak dwa druhy byli.
Skutek nałogu! z długiém nawyknieniem
Stajem się wkońcu, czém jesteśmy w sobie.
Jam wolność moję odzyskał z westchnieniem.

r. 1829 *Petersburg.*

OSKAR Z ALWY.

Jak pięknie świéci z niebieskich lazurow
Lampa wieczorna nad brzegami Lory!
Gdzie stérczą wieże siwych Alwy murow,
A wkoło tylko czarne szumią bory.

Nieraz tam xiężyc z za chmur wybłąkany,
Spotykał w północ snujących się mężów;
Rozświécał w północ rycerskie tartany,
Igrał s połyskiem rycerskich orężów.

I ku skrwawionéj poglądając skale,
Śród mieczów szczęku śród wrzasku walczących,
Srebrząc swym blaskiem jéj podnożne fale,
Blady przezierał twarze konających.

Ileż to oczu, co patrząc s téj skały
Wschodzącéj zorzy oglądać nie miało,
Od rzezi wzrok swój zwracając omdlały,
Jeszcze przed śmiercią na xiężyc patrzało!

Niegdyś jak lampę miłości, te oczy
Piękny blask jego witały na niebie;
A dziś ten xiężyc świéci im w pomroczy,
Świéci, jak smutne światło na pogrzebie.

Wygasł do szczętu ród Alwańskich panów,
Siwy ich zamek jeszcze widać w dali;
Lecz nikt myśliwych nie głaszcze brytanów,
Nikt na bój wiernych nie wiedzie Wassali.

Czemu mech cegły zamkowe tak brudzi,
Kto był ostatnim z alwańskiego domu?
Niczyja stopa echa w nim nie budzi,
Nic go nie budzi, prócz wiatru i gromu.

Tak, gdy się wicher w szpary zamku wciśnie,
Wnet tarcz Oskara na ścianach się chwieje;
Lecz czarném piórem jego helm nie błyśnie,
Lecz sztandar jego z baszty nie powieje.

W pierworodnego dzień urodzin syna,
Angus Wassali zdaleka, i zbliska
Ściąga na ucztę — uczta się poczyna,
Tłumy się snują w około ogniska.

Ucztują w zamku, a każdy z Wassali
Pragnąłby radość swego Pana dzielić.
Wtém, by góralską ucztę rozweselić,
Wojenne rogi zabrzmiały po sali.

I ci co dziki dźwięk rogów słyszeli,
Roili sobie, że też same rogi
Zabrzmią im kiedyś przy dźwięku kapeli,
Gdy ich syn pański powiedzie na wrogi.

Ledwo od uczty rok upłynął drugi,
Już Angus drugim synem się raduje;
Hojne podarki sypie między sługi,
I wassal w zamku jak wprzódy uczłuje.

Uginać łuki od ojca uczeni,
Oskar i Alan w myśliwych szeregu,
Ścigając sarny po Alwy przestrzeni,
Gończe psy nieraz wyścigali w biegu.

Każdy z nich zdolność rycerską rozwijał,
A dziećmi, jeszcze pod ojca opieką,
Już każdy włócznią w powietrzu wywijał,
I grot świszczący posyłał daleko.

Czarny Oskara włos wił się w pierścienie,
Wiatr dziko igrał z ich gęstémi sploty;
A włos Alana był jasny i złoty,
Lica miał blade, pochmurne spójrzenie.

Alan był słynął z wdzięków swych uroku,
Lecz Oskar duszę rycerską dziedziczy;
Szczerość jaśniała w jego czarném oku,
Lecz Alan w słowach więcéj miał słodyczy.

A oba mężni; — pod ich stali siłą
Saxońska włócznia nieraz się łamała:
Serce Oskara bojaźnią gardziło,
Lecz pierś Oskara więcéj czuć umiała.

Alan był piękny — lecz dusza Alana
Niesłusznie piękne ciało zamieszkała;
Alan był dziki — i zemsta Alana
Dzika jak piorun na wrogów spadała.

Z odległych gmachów, s Suzamonu wzgórka
Przybyłą damę na zamku witano.
Przychodzi piękna Glenalwonu córka,
Kraje Kennety przynosi na wiano.

Angus żądaniom syna się uśmiécha,
Oskar dziewicę już pokochał skrycie;
Dla dumy ojca rośnie stąd pociecha,
Gdy syn zaślubi Glenalwonu dziécie.

Słuchaj! na zamku już brzmią rogów dźwięki,
Słuchaj! już ślubne hymny brzmią do koła:
W wesołéj nócie płyną z ust piosenki,
A piosnkóm wtórzy muzyka wesoła.

I w zamku Alwy ludniéjszym niż kiedy,
Sto piór, sto hełmów błysnęło dorazu;
Wassale strojni w kratowane pledy,
W ciszy czekają pańskiego roskazu.

Lecz dzisiaj Angus nie ciągnie do boju,
Każdy w domysłach różne myśli rodzi;
Wojenna trąba gra piosnkę pokoju,
Śluby Oskara pan zamku obchodzi.

Lecz gdzie jest Oskar? i w dzień ślubu sam?
Przecz tak leniwy? gdzie ta miłość żywa?
Na zamku goszczą rycerze i damy,
Oskar z Alanem jeszcze nie przybywa.

Nakoniec Alan do zamku zawitał,
«Wszakżeś z Oskarem polował w dąbrowie!
Gdzie Oskar?» żwawo Angus go zapytał,
Gdzie on jest?« —niewiem, młodzieniec odpowie —

Może na swoich dzień ślubów niepomny,
Pędząc za łanią, wieczor dniem być sądzi?
Może po morzu błądzi nieprzytomny,
Lecz łódź Oskara rzadko kiedy błądzi.»

«O nie, rzekł Angus zatrwożony srodze,
Nic go nie wstrzyma, ni lowy, ni morze.
Mogłoż co jego zatrzymać po drodze?
Oskar dla Mory zimnym być nie może.

Śpieszcie rycerze! ty przejrzyj Alanie
Każdy kąt Alwy, jaki tylko wiecie!
Śpieszcie, a lećcie póki wam tchu stanie,
Aż nim Oskara mojego znajdziecie!»

Szerzą się wrzaski, po Alwy dolinie
Głośno i dziko brzmi imie Oskara;
Brzmią dzikie jary i dzikie pustynie,
Oskar!» nie jedna odbiła pieczara.

Trzy dni i nocy, sam niepomny na nic
Za synem Angus błąkał się w dąbrowie;
Próżen nadziei, w rospaczy bez granic,
Płakał, i siwy włos szarpał na głowie

O niebo! syna wróćcie mi» zawoła!
Boże starości ulituj się mojéj!
Lecz jeśli żal mój wskrzesić go nie zdoła,
Skarz jego zbójcę w całéj zemście swojéj!

Oskara kości wybielały może
Leżąc na dzikiéj, na bezludnéj skale?
O nic nie błagam, zdarz mi tylko Boże,
Bym z nim zagrzebał siebie i me żale.

Może on żyje? Ty co mieszkasz w niebie
Ty pociesz starca! lecz kto mi przebaczy
Słów, com w téj chwili wybluźnił na ciebie?
O Boże przebacz bluźniącéj rospaczy!«

Tak się bez przerwy stary Angus smucił,
Nim czas leczący cierpienia, niedole,
Dawna pogodę jego twarzy wrócił,
I zbyt gwałtowne ułagodził bole.

Nieraz tajemna cieszy go otucha,
Że Oskar wróci, że Oskar nie zginął;
Nie śmie jéj wierzyć, a przecie jéj słucha,
W téj niepewności smutny rok przeminął.

Dni ciągle płyną jak wody potoku,
Już krąg słoneczny drugi bieg odprawił;
Lecz Oskar ojca nie weseli wzroku,
Oskar w rodzinnym zamku się nie zjawił.

Promień pociechy jeszcze w starcu błyskał,
Alan starego pocieszał rodzica:
I serce Mory wnet Alan pozyskał,
Alan był młody i piękne miał lica.

Myślila Mora, już Oskar śpi w grobie,
A Alan piękny uwielbia me wdzięki:
Gdyby żył jeszcze, mógłby inną sobie
Poznać dziewicę, zapragnąć jéj ręki.

A Angus mówił, już przeszły dwa roki,
Rok jeden jeszcze niech ojciec przepłacze;
Potém, przysięgam; żadnéj, żadnéj zwłoki,
Sam wam Alanie dzień ślubu naznaczę.

Płyną miesiące, nakoniec dzień błogi
Długo czekany dzień ślubu zaświecił;
Przeszedł rok smutny udręczeń i trwogi,
I uśmiéch twarze kochanków zakwiecił.

Słuchaj, na zamku już brzmią rogów dźwięki,
Słuchaj! już ślubne hymny brzmią dokoła;
W wesołéj nócie płyną z ust piosenki
A piosnkóm wtórzy muzyka wesoła.

I znów rycerze alwańskiego klanu
Tłumnie jak wprzódy na zamku ucztują;
Winszują ślubów alwańskiemnu panu,
Szczęściem pańskiego syna się radują.

Kto jest ten rycerz s posępną źrenicą?
Gdy radość z oczu uczt ujących błyska,
Przed jego oczu silną błyskawicą
Blednieje płomień błękitny ogniska.

Czarny płaszcz jego, s czerwonych piór duży
Czub nastrzępiony krył szyszak świecący;
Głos jego grzmiący jak piorun śród burzy,
Lecz krok był jego zbyt lekki i drżący.

Już północ — częsta szła koléj puharów
Do dna spełniają oblubieńców zdrowie;
Gdy zagrzmi toast śród biesiadnych gwarów
Zaraz mu echo zamkowe odpowie.

Wtém rycerz powstał, i wśród tłumu stanie,
Biesiadna ciżba wnet gwarzyć przestała.
I widne s twarzy Angusa zmieszanie
I Mory trwogą piękna pierś zadrżała.

Starcze! zawołał, patrz jak chętnie pije
Jak na rycerza, na gościa przystoi;
I jam wniosł toast, niechaj syn twój żyje!
Teraz kielicha czekam z ręki twojéj.

Dziś Mora śpieszy w Alana objęcia
Dziś gdy weselem brzmią zamkowe ściany,
Niemaszże powiedz, innego dziećięcia;
Czy już przez ciebie Oskar zapomniany?

A starzec s twarzą bladą i wylękłą
Westchnął, i z ocz mu strumień łez się rzucił.
«To stare serce ledwo że nie pękło,
Odkąd mój Oskar ten zamek porzucił.

Trzeci raz słońce drogę swą poczyna
Jak gdzieś tajemnie znikł mój Oskar luby,
W Alanie moja pociecha jedyna,
Od brata jego ucieczki lub zguby.»

«Dobrze, więc dobrze, przerwał nieznajomy,
I groźnym wzrokiem cisnął wkoło sali,
Los twego syna może mi wiadomy,
Może nie umarł jakeście mniemali.

Możebyś starcze po nim tak nie szlochał,
O! możebyście Oskara ujrzeli,
Gdyby ci tylko, których on tak kochał,
Poznać go, wezwać po imieniu chcieli.

Więc nim biesiadne uciszą się gwary,
Niech wkolo stołu pełna krąży czara,
Niech złotém winem zakipią puhary,
Zamawiam puhar na zdrowie Oskara!»

«S całej méj duszy! Angus mu odpowie,
A w ręku trzymał pełny puhar wina,
Żyje, czy umarł? pijmy jego zdrowie!
Nigdy nie będę miał lepszego syna»

«Wypiłeś starcze, wdzięcznym ci we dwoje,
Ty drzysz Alanie, i cóż ci się stało?
Pij za umarłych! drżące ręce twoje
Wzmocni, a puhar do ust przymknij śmiało!»

Alan s przestrachu cały się szczerwienił,
To znowu bledniał, i wylękłe czoło
Smiéchem weselił, i znowu się mienił,
Zimny pot śmierci oblał go wokoło.

Potrzykroć puhar do ust swych przymykał,
Potrzykroć puhar postawił na stole;
Bo trzykroć gościa dziki wzrok spotykał,
I groźbę czytał ne zmarszczoném czole.

«Także brat zimno pije zdrowie brata?
Rzekł gość z uśmiéchem, taka twa przyjaźni,
Czułéj miłosci taka twa zapłata?
A cóżbym jeszcze wnosił s téj bojaźni!»

Wzruszon szyderstwem, wzniosł puhar, i rzecze,
«Jak bez Oskara smutna ta biesiada!»
Wtém trupia bladość jego twarz powlecze,
J z drżących ręku puhar mu wypada,

«To on morderca! głos mi jego znany,
Głośno zakrzyknie wzrastająca mara,
To głos mordercy!» brzmią echa i ściany,
I ciżba wtórzy, to zbójca Oskara!

Światła pobladły, kilka gromów padło
Na dach zamkowy — a pomiędzy tłumem
Widomie stoi grobowe widziadło,
A burza ciągłym wre i huczy szumem.

Olbrzymie kształty skrywał płed zielony,
Helm s czarnym piórem a miecz miał przy boku.
Z otwartéj pierśi znać że krwią zbroczony,
Szklisty blask lśnił się w nieruchomém oku.

I przed Angusem uchylił kolana,
A śmiał się dziko, wzrok ciskał w okolo.
Wtém leżącego na ziemi Alana
Spotkał z uśmiéchem — i namarszczył czoło.

Piorun zagasił pochodnie godowe,
Rzekłbyś, że w zamku całe wrzało piekło:
Grobowe widmo przez wrota zamkowe
Na skrzydle wichrów świszczących uciekło.

Smutnie weselne skończyły się gody,
Na sali widać jakichś dwóch rycerzy;
To stary Angus, przy nim drugi młody,
To martwy Alan na podłodze leży.

Angus z omdlenia powrócił do siebie,
Lecz lekarz zamku napróżno się trudzi,
Już dni Alana policzone w niebie,
Już Alan ze snu więcéj się nie zbudzi.

Gdzie widać czarne Glentanaru błonie,
Tam zimny Oskar śpi pod cieniem drzewa;
Myśliwa strzała tkwi w Oskara łonie,
A wiatr jesieni jego włos rozwiewa.

Kto było widmo, kto gość nieznajomy?
Próżno badali, próżno się pytali,
Nikt nie był wieści prawdziwéj świadomy,
W widmie wassale Oskara poznali.

Strzała Alana szybko z łuku leci,
Ale jéj ostrze czyjąż krew zbroczyła?
Krew ta na piersi Oskara się świéci,
Ta strzała jego zdrój życia wypiła.

I oczy Mory promienne pięknością
Władały sercem Alana zaciekłém;
Przebóg! te oczy co świécą miłością
Mogłyżby duszę jego natchnąć piekłem?

W dali od zamku, lśniącémi marmury
Alwańskich panów świécą się mogiły;
Alana sztandar nie wznosi się, w chmury,
Bo jego krople krwi bratniéj splamiły.

Miałżeby jaki bard s sędziwą brodą,
Alana czyny na arfie wygrywać?
Pieśń najpiękniéjszą jest chwały nagrodą.
Lecz kto mordercy będzie chwalę śpiéwać?

I żadnéj części nie odebrał zbójca,
Żadna pieśń jego nie brzmiała imienia;
A w Alwie tylko brzmią przekleństwa Ojca,
I brata dzikie, przedśmiertne jęczenia.

I.

IF SOMETIMES IN THE HAUNTS OF MEN.

Jeżeli czasem w biesiadniczym tłumie,
Twój obraz niechąc zgubią moje oczy;
Samotna chwila znów cię stworzyć umie,
I znów twym cieniem mą duszę zamroczy.
Wnet mię samotność do ciebie powróci,
A troska moja, wprzódy w tłumie ludzi
Nie śmiejąc skarżyć, znowu się przebudzi,
I znowu skargę śmiało z ust wyrzuci.

Przebacz mi! jeśli nie po mojéj chęci
Zgubię myśl w tłumie którąm winien tobie;
Gdy twarz uśmiéchem, choć serce w żałobie
Rozjaśnię twojéj niewierny pamięci,
Nie sądź, gdy każe śmiać się ustóm moim,
By twa mi pamięć mniéj być drogą miała!
Niechciałbym gdyby ciżba podsłuchała
Westchnienie, które tak całkiem jest twoim!

Jeśli zawrótnéj piję treść jagody,
Mniéjsza, czy troski w niéj pogrążę moje,
O! dla rospaczy słabe te napoje,
Chyba Letéjskie ją upoją wody.
Lecz niepamięci, jeśli w mojéj duszy
Stłumisz myśl wierną jéj o każdéj dobie,
Zdruzgocę czarę — i pomyślę sobie,
Wolę ja w słodkiéj dręczyć się katuszy!

Bo gdy w méj myśli nie będziesz przytomnie,
I któż zamieszka puste serce moje?
I któż o luba! tu zostanie po mnie,
By łzami uczcił święte prochy twoje?
Nie, nie, aż nadto dumna żałość moja!
By ktoś miał drugi płakać na twym grobie;
Świat cały może zapomnieć o tobie,
Lecz ze mną wiecznie będzie pamięć twoja!

I ty zaplaczesz na moim pogrzebie!
Bo kogoż więcéj zgonby mój zasmucił?
Nieopłakany światbym ten porzucił.
Świat ten, gdzie nikt mię nie kochał prócz ciebie!
Znam ja! nie dla mnie cię stworzyły nieba,
Jam że cię ziemskim zapalił płomieniem?
Ach, chyba naszą miłość nazwać trzeba
Snem czarodziéjskim, niebieskiém marzeniem!

II.

«OH SNATCHED AWAY IN BEAUTY'S BLOOM.»

O wydarta nam w samym wdzięków twych roskwicie!
Dziewico! ni cię dumne przytłoczą mauzole.
Wiosna ci s swych jedwabi wysnuje pokrycie,
Na niém róże i młode porosną topole:
A cyprys ścieląc gałąź żałobnych warkoczy
Melancholijne cienie nad grobem rostoczy.

O! nieraz nad tym brzegiem srébrnego potoka,
Czarna Boleść przechyli zadumane czoło;
I myśl topiąc w pamiątkach, marząc niewesoło,
Cichym krokiem stąd pójdzie, łzę wyleje z oka:
Jakby echo jéj kroku, jakby łza źrenicy
Zdolne były przebudzić wieczny sen dziewicy!

Cóż nam dadzą niewieście szlochania i jęki?
Wszak nikt u śmierci życia zmarłym nie wypłacze?
Przecież równe łzy lejem, równe cierpim męki;
Bo któż na wodzy słuszne utrzyma rospacze?
I ty sama!...co dziś mi życzysz zapomnienia,
Bladaś... i łza blask twego przygasza spójrzenia.

III.

«THERE'S NOT A JOY THE WORLD CAN GIVE LIKE THAT IT TAKES AWAY.»

O Lachrymarum fons, tenero sacros
Ducentium ortus ex animo: quater
Felix! in imo qui scatentem
Pectore te, pia Nympha sensit
GRAY.

Świat raz wydartych uciech niczém nie nagrodzi,
Gdy żar myśli młodzieńczéj wypali się zbytnie,
Nie tylko, że z lic szkarłat przedwcześnie uchodzi,
Wprzód kwiat serca zwiędnieje, nim młodość przekwitnie.

O! wtedy rozbit szczęścia brnie w zbytków głębinie,
Na skały namiętności pochwyca go fala:
Ciska kompas, napróżno wskazujący zdala
Brzeg, którego z rozdartym żaglem nie dopłynie.

Wtedy zimno śmiertelne drętwi naszą duszę,
Martwą dla drugich, własne bolą ją katusze.
Wtedy zrzódło łez naszych zmrozi chłód grobowy,
A jeśli zalśnią w oku, to jak śron zimowy.

Nieraz łzami zlewając bezsenne pościele,
Licem pokój kłamiemy, ustami wesele:
Tak po baszcie sędziwéj młody bluszcz się wspina,
Zwierzchu kwitnie zieloność — cóż spodem? — ruina!

Obym mógł czuć jak czułem, być czém kiedyś byłem,
I płakać jak płakałem, marzyć jak marzyłem!
Podobny schnącym zdrojóm w bezwodnym jeziorze,
Jeszcze na stepach życia zapłakałbym może?

IV.

ŚPIÉW MEDORY

(z Korsarza.)

Miłość moja aż na dnie duszy mojéj żyje,
Samotna, i na zawsze utajona w cieniu;
A jeśli twemu wzajem serce me odbije,
Zadrzy, i znów jak wprzódy dręczy się w milczeniu.

Płomień jéj, jak pogrzebna lampa nad mogiłą,
Ciągły, lecz niewidziany rzuca blask po ziemi;

I chłodna noc rospaczy jego nie zaciemi,
Chociaż sam tak lśni martwo, jakby go nie było!

Wspominaj mię! lecz jeślić inne zajmą wdzięki,
Omiń grób mój, nie przychodź już urągać do mnie!
Bo téj jednéj wycierpieć nieśmiałabym męki,
Myśląc tylko żeś kiedy mógł zapomnieć o mnie!

Niech więc ciebie ostatni, tęskny głos mój wzruszy!
Ja umrę, ty sam doli ulituj się mojéj!
Żal za zmarłych twéj męskiéj nie zniewieści duszy.
Ach! za tyle miłości, czegoż chcę? — łzy twojéj!

V.

I SAW THEE WEEP.»

Widziałem płacz twój! gdy łza jasna, wielka,
Weszła na ciemnym twych oczu błękicie;
Zda się, żem widział fijołek o świcie,
Gdy na nim jeszcze lśni rosy kropelka.

Widziałem potém twój uśmiech uroczy!
Jak słabo przy nim safir się płomieni,
Safir nie zgasi żyjących promieni,
Którémi gorą uśmiechu twe oczy.

Jak bliski obłok zachodniego słońca
Coraz żywszego nabiera koloru,
Sam ledwo ciemność na niebie rostrąca,
A jeszcze światło przedłuża wieczoru.

Tak nieraz dusza gdy w smutku żałobie,
Wesoły uśmiéch smutne lica kwieci;
I blask słoneczny zostawia po sobie,
Który nad sercem jeszcze długo świeci.

Z HORACIUSZA.

R. 1825 — 24. w *Wilnie.*

Z HORACIUSZA.

DO MECENASA.

Maecenas atavis edite regibus.
Lib. I. car. 1.

Mecenо! etruskiego gałąsko plemiona,
Mój ty świetny zaszczycie, ty moja obrona!
Są którzy lubią, nawet mają za trud miły,
Chwytać w szrankach wzruszone olympijskie pyły:
Tych rydwan, gdy o metę kołem nie zawadzi,
W oklaskach ziemskie Pany między Bogi sadzi.
Ten lubi gdy go ciżba sporna i zmiennicza
Potrzykroć między piérwsze urzędniki wlicza.
Ten żeby w swe zasieki różne zamknął zboże
Ile tylko afrycka ziemia zrodzić może.
Ten wesoł kraje pługiem ojczyste ugory,
Choćbyś mu atallowe obiecował zbiory
Nie zwabisz niepewnego o los przyszłéj doli,
By wiosłem siekał morze zmiennym wiatróm gwoli.

Strwożony Eurów z morzem ciągłémi zapasy,
Kupiec wielbi swą wioskę, chwali wiejskie wczasy;
To znowu do wsi swojéj nowe czując wstręty,
Wnet spycha poprawione na wodę okręty.
Są którzy do starego ochotni Massyku,
Lubią się przy szemrzącym upijać strumyku:
I żartem dzień zbywając w zieloném gęstwinie,
Próżnującą godzinę radzi topią w winie.
Wielu miły w obozach żywot niespokojny,
Ten obmierzłe polubił czułym matkóm wojny.
Myśliwy młodéj doma odbiegłszy małżonki,
Pod mroźném niebem pędzi na lasy na łąki;
Czy gdzie psami wyszczwana szybka łani leci,
Czy dzik marsyjski krzepkie porozrywa sieci.
Ciebie nagroda mądrych głów, wieniec bluszczowy
Mieści w rzędzie niebianów. — mnie chłodne dąbrowy,
I skoczne Nimf polotnych s Satyrami tańce,
Nad lichy gmin wynoszą i poziomu krańce!
A gdy dla mnie Euterpe swéj lutni nie wzbroni,
Gdy lesbijskiéj cytary nie wychwyci z dłoni;
A ty jeśli mię wliczysz między wieszcze Feba,
Szczęśliwy! głową sięgnę gwiazdzistego nieba!

DO SEXTA.

Solvitur acris hiems.
Lib. I. car. 4.

Rosprysnął lody ciepławy Fawoni,
Żeglarz na morze mnogie łodzie ciska;
Bydło zagrody rzuca, a ogniska
Odbiegłszy pasterz na piszczałce dzwoni.

A skoro światło zabłyśnie miesięczne,
Już Wenus błyska stopami śnieżnémi;
Z nią społem Nimfy i Gracije wdzięczne
Tańcując ledwo tykają się ziemi.

Już Jowiszowi Wulkan starczy grotów,
Z nim się Cyklopy pocą czarno-lice;
A szelest iskier, szczęk i kołat młotów
Wypełnia hukiem pracowne kuźnice.

Teraz mój Sexcie, Romulowe plemie!
Gdy już przybyciem wiosny świat cieszony,
Czas i włos świetny stroić w mirt zielony,
Lub w kwiaty które miękkie rodzą ziemie.

Tak gdy się fraszką nasycim do woli,
Zabiegłszy w gaju ustronia cieniste,

Ubijem w darze Faunowi gwoli,
Czy młodą sarnę, czy jagnię welniste.

Sexcie! śmierć blada pałacowe słupy,
Równie jak kmiecie druzgoce chałupy;
Czas rączy, w krótkiéj żywota kolei,
Broni nam długiéj poczynać nadziei.

Wnet cię noc czarna ujmie i zażenie
W czczy dóm Plutona między kłamne cienie:
Tam skoro znidziesz, już i wdzięk Licyda
I winna uczta na nic się nie przyda.

DO POLIONA.

Motum ex Metello consule.
Lib. II. car. 1.

Więc zbrojne za Metella współziomków zapędy,
Los wojny, jéj koleje, przyczyny i błędy,
Gry fortuny, przyjaźni Panów zgubne światu,
I gwałt ubroczonego bratnią krwią bułatu,
Co go dotąd błagalne nie omyły wody,
Opiewasz, wykazując przeszłych klęsk zarody.

Zaprawdę, dzieło trudne Polionie miły!
Pragniesz deptać te żary co popioły skryły.
Niech twa Muza surowa na czas łez nie leje,
Gdy Rzeczypospolitéj będziesz konał dzieje;
Wtedy bądź powrócony płaczliwéj kamenie,
I koturnem ateńskim zabłysnij na scenie.
Ty którego niewinność wierzona obronie,
Czerstwa rado sanatu zacny Polionie!
Twój to wieniec w dalmackiéj zdobyty wyprawie
Twe imie wiekopomnéj przyporuczył sławie.
Przebóg! już teraz gromy i trąba chrapliwa
Bijąc ucho z milczącéj karty się ozywa!
Już i światło od lśniącéj odstrzelone broni,
Strach blady ciska w oczy rycerzów i koni.
Widzę jak dzielni wodze do boju ruszyły,
Jak się łamią zbrukani zaszczytnémi pyły.
Świat znękany upada, chwieje się i kona,
Jedno umysł niezgięty wiekuje Katona.
Juno i miła Afrom bogów drużba cała
Zgromiona, swe świątynie s wstydem odbieżała.
Lecz mściwy tą zniewagą wkrótce na ofiary
Cienie Rzymian Jugurcie szle w Pluta pieczary.
Któreż krwią Rzymianina rospojone pola,
Nie poświadczą co mogła naganna swawola?
A łoskot Włoch upadku przez niezgody bratnie
Przedarł się gdzieś aż w Persów kończyny ostatnie.
Jakaż topiel zmarłémi nie pasła się gminy?
Krwią waszą zarumienił siebie Neptun siny.

Stój muzo! cejskiéj lutni porzuć smutne tony,
Ot lepiéj siadłszy sobie w chłodniku Diony,
Cukrując mnogie życia naszego gorycze,
Śpiéwać miłość, swobodę i wdzięki dziewicze.

DO CHLOI.

Vitas hinnuleo me similis Chloë.
Lib. I. car. 23.

Czemuż odemnie Chloe urodziwa
Stronisz, jak ona sarneczka pierzchliwa,
Matki po górach, kniejach szukająca,
Z bojaźni drżąca.

Bo czy to wietrzyk co s trawką się pieści,
Ruchomym listkiem zwolna zaszeleści;
Czy wąż zasyczy, już tracąc nadzieję,
Cała plótnieje.

Wszakże ja, świadkiem i ludzie i bogi!
Ni lew afrycki, ani tygrys srogi,
Abym miał szarpać drapieżnémi szpony,
Twój włos pieszczony.

Przez litość folguj żalowi mojemu!
Kiedyć już i czas i wiek jest po temu,
Odbiegłszy matki, Chloe ulubiona,
Sam tu do łona!

DO MECENASA.

Nolis longa ferae bella Numantiae.
Lib. II car. 12.

Niechciéj, bym niemilémi Mecceno dźwiękami,
Na miękkiéj lutni twarde śpiéwał Anibale!
Jak długo dzicz numańcka łamała się z nami,
Lub Sykulskie krwią Penów ubroczone fale.
Ni opiłych Centaurów z Lapitami boje,
Ani ciebie Alcydzie wspomną usta moje,
Coś uniżył Tytanów buntownicze rogi,
Gdy w gwiaździstych pałacach potruchlały bogi.
Ty sam lepiéj w poważnym historyi toku,
Skreślisz czyny Cezara potomnemu oku;
Jak swe czoło w zwycięskie przesłoniwszy wieńce,
S krwi królów za swym wozem dumne wodził jeńce.

Bo moja Muza mniéj wzniosłémi tony,
Spiéwać Licynę urodziwą woli!
Któréj blask oka, któréj głos pieszczony,

Zdolny z najtwardszéj serce zmiękczyć stali:
Lub kiedy ona swoim chęciom gwoli,
Wzajemnym ogniem się pali.
Wszystko jéj pięknie! czy śród świąt Diany
Z gładkiemi dziéwki raźne wiąże tany;
Czy w trefnym żarcie śmiéchem krasi lica,
I wzrok uwięzi, i duszę zachwyca.

Niech kto skarby Arabów wznosi pod niebiosa,
Lub słynną żyżność Frygijczyków roli:
Zdumion blaskiem Licyny jedwabnego włosa,
Czyżbyś zazdrościł Achemena doli?

Któż jéj pocisk spójrzenia wytrzyma?
Gdy w biesiadniczéj swawoli,
Do pocałunku nachyli swe lica:
A gdy młodzieniec ust dotknięcia bliski,
Wnet wzgardę kłamie oczyma;
I znów roskoszy słodkiéj zwolennica,
Ogniste wzajem zarzuca uściski.

DO POMPEIUSZA.

O saepe mecum tempus in ultimum
Deducte....
Lib. II. car. 7.

Ty coś zemną już nieraz w pokruszonéj łodzi,
Wędrował po burzliwéj jednych klęsk powodzi

I któż cię zdrowo wrócił domowéj zaciszy,
Pompejuszu; ozdobo moich towarzyszy?
S tobą to, gdy syryjskie włos polewą wonie,
Nieraz przy winie wieńcem osłoniwszy czoło,
Dzień gdzie indziéj leniwy, schodził mi wesoło.
I s tobą, świadkiem filipijskie błonie,
Nie bez niesławy broń nas odbieżała;
Gdy kwiat młodzi, nadzieja naszych swobód cała,
I wprzód tak groźne Tryumwirów plemie,
Zaległo ziemię!
Lecz mnie s téj bitwy polotny Merkury,
Uniosł drżącego w modre skrywszy chmury.
Ty znowu przez wilgotne pobiegłés rozłogi,
Hartownym mieczem dumne ścierać wrogi.

Dziś poślubione bogóm oddaj dary!
I bok śród wojennego znużony zawodu,
Złożywszy w cieniu zielonego chłodu,
Wypróżniaj tobie przeznaczone czary.

Więc pijmy? niech Massyku puhar troskę goni,
Niech i włos zagangeskiéj napije się woni!
Ha! kto nam skroń mirtowym oprowadzi majem,
Kto dziś będzie zarządzał biesiadnicze koło?
Będę szalał swawolnych Edończów zwyczajem!
Miło jest s przyjacielem i podpić wesoło.

DO HIRPINA.

Quid bellicosus Cantaber.
Lib. II. car. 11.

Co gdzieś tam przy adryjskiéj siedzący głębinie,
Duma Scyta wodami rozgrodzon od świata;
I co krzepki Kantaber, nie badaj Hirpinie!
Darmo w otchłań przyszłości myśl śmiertelna lata.

Bo gdy nas starość w siwe zwikła sieci,
I rzeska młodość, i urody chwały,
I sen powolny z oka precz ulecí,
I wiek serdeczne przystudzi upały.

Nie ciągle w kraśne kwiat się stroi szaty,
Nie ciągle jasna twarz złotego Feba:
Przecz słaby człeku twój umysł skrzydlaty,
Śledzi wyroków niezbadanych nieba?

Ot lepiéj w cieniu dorodnéj topoli,
Gdzie czysta struga smug jedwabny chłodzi,
Pijmy Hirpinie! gdy jeszcze się godzi
I włos namaścić, i napić do woli.

Troski w bachowym niech utoną soku!
Ha! już nas wino nie pomału pali.

Sam Chłopcze! wody zaczerpnij ze stoku,
Przygasim ognie falernejskiéj fali.

Bież! — i z gościnnych dziéwek Lida żywa
Co szczupłe krzepi płomienie,
Warkocz swój w kształtne związawszy pierścienie,
Niech z lutnią do nas przybywa!

DO DELLIUSZA.

Aequam memento rebus in arduis
Servare mentem.
Lib. II. car. 2.

Czy cię mój Delli los pokarał srogo,
Dobréj bądź myśli; czylić nazbyt błogo,
Miarkuj wesele, a dumy daleki,
Pomnij! że chłodnym snem zaśniesz na wieki.

Bądź twoje lica ciągłym wilżysz płaczem,
Bądź łąk kwieciste zaległszy obszary,
Dni święte darząc bachowym haraczem,
Próżnisz Falernem perlące się czary.

Gdzie s czarną jodłą srébrnéj liść topoli,
Lubi gościnne spolecznić ochłody;

Gdzie strumień, swoim krzywym brzegóm gwoli,
Zwolna szeleszcząc czyste sączy wody.

Tam sporą wina każ podać szklanicę,
I kwiat co krótko swą się krasą szczyci;
A nie skąp woni, póki trzy siostrzyce
Czarnéj ci życia nie wysnują nici.

Ustąpisz Delli téj wsi i dąbrowy,
I ziemi, którą płócze Tyber płowy:
A hojném złotem okupione domy,
Po tobie dziedzic zadzierży łakomy.

Bądź krew swą czerpasz w starym królow rodzie,
Czyś żebrak zbratan s podléjszémi gminy;
Musisz, chwilowy gość ziemskiéj niziny,
W twardego Orka zamieszkać gospodzie.

Każdy z nas prędzéj, lub późniéj tam stanie!
A skoro z urny zgubny los wyleci,
Już wszystkich, jako jednéj matki dzieci,
Śmierć nas na wieczne zapędzi wygnanie.

DO KALIOPY.

Descende caelo....
Lib. III. car. 4.

Królowo! z górnych niebios znieś twą boską stopę,
A zagraj nam na fletni piękna Kaliope!
Bądź pragniesz z miękkiéj lutni wylać dźwięk pieszczony.
Bądź w bardon Feba zagrasz uroczyste tony.

Słyszysz! czy pijanémi mózg mój gore szały?
Śpiéw zabrzmiał; — już Elizu święte zwiedzam gaje;
Kędy i aury świeże, i wodne kryształy,
Ciągle łąk ukwieconych odświeżają maje.

Mnie jeszcze dziećkiem, pośród Wulturny zacisza,
Gdy ma pierś zmordowana cichy sen wydysza,
Srébrnémi skrzydły głaszcząc zamknięte źrenice,
Gałąskami przykryły twoje gołębice.

Zdumiała się dzicz gruba patrząc na te dziwy,
Co po górach jak gniazda leśne wiąże budy:
I po gajach bantyńskich koczujące ludy,
I co żyzne Forentu uprawiają niwy.

Jak dziécko, próżen szwanku przy bogów pomocy,
Spałem lauru i mirtu osłoniony cieniem:

Że mię ani wąż szkodnym opasał pierścieniem,
Ni mię ze snu wypłoszył niedźwiedź błąkacz nocy.

Wasz to ja muzy! wasz to kochanek jedyny,
Zwiedziłem chłodny Pernest, górzyste Sabiny;
Czy niższego Tyburu pochodziste gaje,
Czyli się mi pomorskie podobały Baje.

Muzy! do których chorów wliczać się mi godzi.
Ani mię sławne rzezią filipijskie pola,
Nie starły z drzewem; nawet w sykulskiéj powodzi,
Nie spotkała mię smutna Palinura dola.

Obyście były ze mną! wierzcie mi, ochotnie
Przez rozburzony Bospor popłynę bez trwogi;
Piaszczyste Assyryi zwiedziłbym samotnie,
Gdzie dręczą podróżnika słońcowe pożogi.

Pójdę między Brytanów niegościnne rody,
Kędy mieszka Kantaber końskiéj krwi łakomy;
Gdzie sajdacznych Gelonów koczujące domy,
A śmiało s scytyjskiego Domu czerpnę wody.

I sam Cezar waszemi przychęcony dary,
Gdy złożywszy na chwilę żelazne ciężary,
Na słodki wczas zapędzi uznojone roty,
Trud marsowy pokrzepia śród Pijerskiéj groty.

Wy mu rady wlewacie mądrością natchnione,
Że i same ochotnie przyjmujecie one.
Wszak wiemy, jako starłszy niepobożne tłumy,
Jowisz ogniem przykrócił Tytanowéj dumy.

Bo on ziemie i morze gdy się wzbyt rozdyma,
W granicach zakreślonych statkujące trzyma:
Przed nim drzy Tartar; ludzie i bogi zarazem,
Pod jego wszechmocności hołdują roskazem.

Zaprawdę, wielkie niebo obiegły postrachy,
Gdy młodzież buntownicza społeczném ramieniem
Grzbiet Pelionu moszcząc górami, kamieniem,
Zuchwale się wdzierała w olympijskie dachy.

Co może krzepki Mima, co Tyfeusz śmiały;
Co Porfirion zdziałał groźniéjszy postacią?
Co Retus, co Enceład śmielszy między bracią
Rosłe drzewa a wielkie ciskający skały?

Patrzcie, patrzcie! już zabrzmiał dźwięk Minerwy tarczy,
Już z liparskiéj kuźnicy Wulkan grotów starczy;
I dorodny Apollo ciągle łukiem zbrojny,
Miecąc strzały olbrzymiéj niesie koniec wojny.

Apollo! co licejskiéj panujesz krainie,
I co w Delos ojczystéj przesiadasz dziedzinie,

Pięknyś! gdy pływający włos twe barki skryje,
Co go źrzódeł kastalskich czysty kryształ myje.

Moc próżna rady własnym ciężarem niszczeje,
Jedno władza rozumna z złych następów szydzi,
Lecz kto na zbrodnię waży, niebo się nim brzydzi,
Ani się jego skutkiem uwieńczą nadzieje.

Świadkiem czego i Gyges stóręki, i śmiało
Ow Orion brojący, o którym wieść niesie,
Gdy przeczystą Dianę chciał zaskoczyć w lesie,
Legł z jéj dłoni, dziewiczą ugodzony strzałą.

Skarży ziemia, że potwór ten wydając s siebie,
Ciężarem swoich garbów własne płody grzebie.
Próżno wparci piorunem w podziemne pieczary,
Przez garła Etny ciągłe oddychają żary.

Próżno się skarży Tyfój, że się nazbyt męczy,
Strażnik jego bezwstydów, sęp go ciągle dręczy:
I Pirytoj przykuty gdzieś do Orka ściany,
Jęczy, nierozłamane dźwigając kajdany.

DO DIANY I APOLINA.

Dianam tenerae dicite virgines.
Lib. I. car. 21.

Dianę dziéwki zaspiéwajcie młode,
Ty raźna młodzi zagraj hymn uczony!
A zanóć piękną Apolla urodę,
I Jowiszowi miléj cześć Latony.

Wy drzew cieniste lubiące warkocze,
Które w swych nurtach modra fala płócze;
I Algid chłodny, albo Kraj zielony,
Lub w gaj porosłe Erymantu strony.

A wy rozgłoście pieniem niezrównaném,
Kraj ten gdzie leży tesalska dolina;
I niezłomnego barki Apolina,
Strojne braterską lutnią a kolczanem.

Niech on waszemi ubłagany prożby
Gdy dziś nam Cezar panuje żądany,
Wojny, i śmierci wędrującéj groźby,
Przepędzi między Party a Brytany.

DO XANTIA FOCEJCZYKA.

Ne sit ancillae tibi amor pudori
Lib. II. car. 4.

Przecz Focejczyku wstydem płonisz lica,
Żeć w więzach piękna trzyma służebnica?
Wszak śnieżnéj twarzy i Bryzeis miła,
Niegdyś twardego Achilla zmiękczyła.

Sam groźny Ajax własnéj niewolnicy,
Miłośne w sercu karmił niepokoje:
Pali się Atryd silną burząc Troję,
Na sam rzut oka porwanéj dziewicy.

Gdy Tesalczyka broni rozgłos samy,
Rospędził chmury barbarzyńskiéj dziczy:
Gdy śmierć Hektora warowne Pergamy
Złamanym Grekóm oddała w zdobyczy.

A kto wie? może ci piękna Filida,
Jasnemi rody nowych blasków przyda?
Może królewskie opłakując progi,
I krew swą skarży, i niesłuszne bogi!

Nie myśl, że w niskim urodzona gminie.
Wierz mi, ślachetna kréw w jéj żylach płynie!

O! ta co wiernie s tobą dzieli łoże,
Z bezwstydnéj matki rodzić się nie może.

A że ci krągłość toczystą ramienia,
I twarz jéj chwalę, niemiéj podejrzenia!
Ja niewiem, czy już jakiéj wdzięk urody
Czterdziestoletnie mogłby rozgrzać lody?

DO APOLINA.

Quid dedicatum poscit Apolinem.
Lib. I. car. 31.

O cóż cię Apolinie wieszcz twój prosić może,
Lejąc ci młode wino z ofiarniczéj czary?
Nie myślę ja Sardyńskie zadzierżeć obszary,
Gdzie czarne role suto wyzłociło zboże.
Fraszka! czy mi indyjską rzeźbą błyszczy sala,
Czy mą łąkę spasają kalabryjskie stada:
Ni cię błagam o wioskę możnego sąsiada,
Którą Lirys milczącéj srebrna liże fala.
Niech ten komu los wielkie podarował sady,
Swém żelezcem kalejskie strzyże winogrady;
Niech i handlarz w syryjskie zasobny przepychy,
Kupnego wina złote wypija kielichy.

Snać miły bogóm! — jemu bezkarnie się godzi,
Potrzykroć po Atlańskiéj żeglować powodzi.
Mnie oliwka wyżywia i ślaz ogrodowy,
O zdarz mi Febie! abym spokojny i zdrowy,
Nim mię starość zapędzi do grobowéj cieśni,
Wolny trosk, na méj lutni słodkie nócił pieśni.

OWOC NIEDOJRZAŁY.

Patrz! jak twa ciołka dumna dziecinną swobodą,
Ani myśli do pługa pierś przyuczać młodą:
Ni ścierpi, gdy ją goniąc śród południéj skwary,
Pan stada nań miłośne zarzuci ciężary.

Częściéj ona na smugach kwiecistych przesiada,
To w czystych zdrojach chłodzić letnie znoje rada;
To ze świémi równianki depce zdrojów brzegi,
To znów wiatry podraźnia swawolnémi biegi.

Więc zawściągnij chęć próżną, ani za pogody
Łakomą dłonią młodéj nie zrywaj jagody!
Za czasem jesień biegu swojego dokona,
I purpurą zielone zafarbuje grona.

Wierz mi, lotem sokolim czas nam rączy bieży,
On i dumę dojrzalszéj piękności łagodzi:
A ta co dziś tak dumnie najgrawa się z młodzi,
Sama potém za tobą Lalage pobieży.

Lalage! któraż z dziewcząt sprosta jéj w urodzie?
Gdy krągłą, białą piersią błyśnie memu oku,
Lśni się jak czysty xiężyc o wieczornym zmroku,
Srébrne blaski po morskiéj gdy rozleje wodzie.

Téj sam Gyges ustąpi, gdy z wieńcem na czole
Streśiwszy włos swój stanie w liczném dziewcząt kole,
I wzrok częsty posyła za chłopców drużyną;
Że kto z obcych nań spójrzał, wierzył go dziewczyną

NAUKA MORALNA.

Odi profanum vulgus et arceo.
Lib. III. car. 1.

Precz niepobożna czerni! precz swe odwróć czoła,
Słuchajcie mię dziewczęta a młodzi wesoła!
Muz kapłan pieśń wam zagrzmi lirycznego ducha,
Pieśń do dzisiaj waszego nieznajomą ucha.

I wami groźnie ziemi królujące Pany,
Jowisz włada, co starszy olbrzymów napady,
Po ich karkach zwycięskie przepędził rydwany,
Co świat skinieniem oka wstrząsa s swéj posady,

Ten winnéj latorośli urodziwym gajem,
Rozleglejsze od drugich zasadza ogrody;
Ten krew swoję uszlachcił wielmożnémi rody,
Ów sławą i przystojnym słynie obyczajem.

Ten znów w tłumne służalców zamożniejszy dwory,
W polu Marsa wysokie ubiega honory:
Lecz śmierć pany i sługi równie ima snadnie.
Biada, komu z jéj urny zgubny los wypadnie.

Gdy nad głową tyrana miecz zawisnie goły,
Ni sykulskim przepychem zaprawione stoły,
Ani pieśni słowicze, ani śpiéw dziewicy,
Ni dźwięk lutni snu pańskiéj nie zwabią źrenicy.

Częściéj on gościć lubi śród wieśniaczéj chaty,
Nieraz z miasta pod niskie rad uchodzi strzechy;
Gdzie zefir pijąc róży wiosenne oddechy,
Chłodzącém skrzydłem muska piękne dolin kwiaty.

Szczęśliwy! komu złotą mierność nieba dały,
Ani tobie pogrożą rozdąsane wały;
Ni mroźnym tchnące wiatrem północne Arktury,
Gdy do nieba szturmują wodnistémi góry.

Równoć! czy na twe pola zgubne idą grady,
Czy wicher z letniéj szaty obnaży ci sady:
Ni cię troszczy słonecznym uszkodzona skwarem
Latorośl winogradu przygięta ciężarem.

Patrzcie! jak bogacz ziemskie zbrzydziwszy dziedziny
Najemną dłonią morskie ulądził kryształy!
Tak, że już kunsztownemi opasane wały,
Na swe państwa ściśnione wodne skarżą gminy.

Daremnie trosk skrzydlatéj unikasz pogoni!
Bądz rumaka dosiądziesz, bądź wędrujesz w łodzi,
Choćbyś sam śród baltyckiéj zamieszkał powodzi,
I tam ciebie lecąca zgryzota dogoni!

Więc jeśli strop s frygijskich wycięty kamieni,
I s Falernem zmieszane achemeńskie wonie,
I szata od sydońskiéj błyszcząca czerwieni,
Trosk i cierpień w frasownem nie uszczupli łonie;

Przecz mam złotą ozdobą drogie stroiąc dachy,
Pełne trosk niepokojów zakupować gmachy?
Bóg was żegnaj bogactwa! — wolę w méj Sabinie
Snem słodkim na cienistéj zasypiać dolinie;

DO PLANKA.

Laudabunt alii claram Rhodon.
Lib. I. car 7.

Ci chwalą Rod budowny, ci Epiru góry,
Ci Efez, ci Koryntu pomorskiego mury:
Ci tessalskie doliny przybylcóm gościnne,
Teby Bachem a Delfy Apolinem słynne.
Ten lubi skroń oliwnym osłoniwszy cieniem,
Czcić dziewiczą Palladę uroczystém pieniem.
Ten Miceny, ten paląc kadzidła Junonie,
Sławi Argos karmiącą wiatronogie konie.
Co do mnie? nad cierpliwych Spartanów zagony;
Nad Larysę w rolnicze niebogą plony;
Wolę cię wód Albunu wędrowny kryształe,
Was Anium sąsiednie tyburyjskie fale;
Kędy latorośl waszą wilgocią pojona,
Dojrzałą krasą winne umaluje grona.
Więc jak nieraz śród deszczów złoty uśmiech Feba,
Chmurami zasępione wypogodzi nieba,
Tak ty Planku, złożywszy s siebie trosk ciężary,
Bądź los w lśniące Gradywa zapędzi szeregi,
Bądź zalegniesz Tyburu cienistego brzegi,
Pomnij swe znoje chłodzić winnemi nektary!
Wszak i Teucer z rodzinnéj wygnany ojczyzny,
Gojąc winnym balsamem świeże serca blizny,
Skroń w topol wystroiwszy, śród chłodnéj dąbrowy,

Zalanych łzami druhów témi cieszył słowy:
«Darmo bracia toniecie w ciagłéj łez powodzi,
Lepszy los nieużytość ojca wynagrodzi!
Pod Teukra wodzą słuszna jest umknąć rospaczy,
Błogą nam przyszłość wyrok Apolla tłumaczy;
Może drugie zbudujem salamińskie grody.
O druhy! mężnie znośmy wojenne przygody.
Teraz winem rospędźmy i troski i żale,
A jutro znów przez morskie powędrujem fale.»

NA ZEPSUCIE WIEKU.

Jam pauca aratro.
Lib. II. car. 15.

Już do tyla w bezmiernych gmachach Rzym się kocha,
Że i gruntu wieśniacza już nie znajdzie socha!
Cała ziemia lukryńskiém zapłynie jeziorem,
Wiąz miłośny przed wdowim ustąpi jaworem.

Już bogacz na swych ojców niedbały intraty,
W same mirty a jolki żyżne stroi błonie;
Gdzie wprzód strzelał krzew złotą oliwką bogaty,
Dziś tam róża w powietrzu swe rozlewa wonie.

Dzis tam chłodnik z laurowéj związany zieleni,
Letni upał słońcowych przystudza promieni.
Nie takie stary Kato dawał nam przykłady,
Ni Romul, ani życiem skromniejsze pradziady.

Każdy syty miernością, chętnie swe dochody,
Słał Rzeczypospolitéj, — ani dla ochłody,
Latem z głazu wycięty słup dziesięcio-stopy,
Krużganków pańskich dźwigał porfirowe stropy.

Lecz skromne polubiwszy wioski swéj mieszkanie,
Rad każdy na darniowym spoczywał dywanie:
A jak prawa kazały, miast społeczne mury,
I świątynie w kosztowne ubierał marmury.

EPILOG.

Dźwignąłam pomnik trwalszy nad miedziane blachy,
Nad królewskich mauzolów urodziwe gmachy!
Jemu ni żrące deszcze s chłostającym gradem,
Ni pogoń czasu, smutnym pogrożą upadem,
Wieki przetrwam! — A póki w pobożnym obrzędzie
W Kapitol kapłan nieme dziéwcze wodzić będzie,
Póty zacniéjszą siebie nie umrę polową!
Zgrzybiała sława znów się odmłodzi na nowo.
Wkrótce bystre posłyszą Aufidu wody,
I gdzie Daunus rolnicze owładał narody,
Żem piérwszy, a co wszyscy zatwierdzą bez kłótni,
Pieśń eolską przyswoił do italskiéj lutni!
Więc dumna swoim wieszczem, jego dumna weną,
Wieńcz mię laurem delfickim chętna Melpomeno!

UŁAMEK S POETYKI WIDY (*)

O HARMONII NAŚLADOWCZÉJ.

(*S Xięgi III. od wiersza* 355.)

Sam tu młodzianie! oto nieźmierzony okiem
Pójrzyj! swe tajnie tobie Helikon roskrywa.
O gdybyś niezemdlonym tam dobieżał krokiem,
Kędy cię muza, kędy piękny Febus wzywa!
Bo Bóstwa od początku, jeszcze w młodym świecie

(*) Marek Hieronim Wida, trzymający zaletne miejsce między Poetami włoskiémi, urodził się w Kremonie r. 1470. — Poeta ten w wierszowaniu łacińskiém najwięcéj przybliża się do pisarzy czasów Augusta. — Pisał on Poema Chrystyanida w VI pieśniach, szachy które wzorowie naśladował nasz Jan Kochanowski, Sielanki i wiele innych rytmów. Sądem znawców literatury za najcelniéjszy płod tego Poety uznana jest Poetyka we trzech pieśniach, s któréj wyjątek ten umieszczamy — Wida w téj Poetyce jak i w wielu poezijach nie spuszcza z oka swojego mistrza Wirgiliusza, niekiedy nawet dosłównie wyjęte wyrażenia stosuje do obranego przedmiotu, tak naprzykład — «tum longe sale saxa sonant refracta remurmurat unda» i tym podobne,

Dozwoliły się z niebem pobratać poecie.
Sam rodzić Bogów nie chciał, by sztuka tak cudna
Dostępna gminu była, zbrodniom mało trudna.
Więc tępszych zmysłów ciżbie tam się wnisć nie godzi,
Wybrańsza tylko liczba w jéj przybytek wchodzi!

Mnogie uczonych wieszczów cisną prac ciężary,
Nie dosyć im zamykać wiersz w przyjęte miary;
Trzeba rzeczy słów mocą obiaśniać treściwą:
Nadać zgodną harmonję, myśl przywiązać żywą:
Śpiéwane głosem trafnie malować przedmioty,
Przy tém różny kształt wiersza w łatwe nagiąć zwroty.
Zaprawdę, różny wierszóm dawać kształt należy,
W różnéj się wykazywać powinien odzieży;
By nie raził słów jednych brzmieniem niewolniczém,
Niech z rozmaitém na świat zawita obliczem.

Ten szybki nóg rączością i skrzydły bystrémi,
Lekką po potoczystéj stopą płynie ziemi.
Ow zaś ciężki brzemieniem cielska ogromnego,
Schylony, ledwo kroku sunie leniwego.
Patrz! młodzian piękny licem, jak cudny tok ciała!
Którego Wenus kształty boskim tchem oblała.
Ten znów straszny postacią, włosami odziany,
Brew przyrosła k-źrenicy, ogón załamany.
Twarzą oku niewdzięczny, głosem uchu twardy!
Lecz nie myśl, by ta dziwność godną była wzgardy.
Kształt i odzież właściwą niech noszą obrazy,

Co wydać różnym dźwiękiem powinny wyrazy.
Patrzaj gdy ciżba majtków morzu nawę ciska,
Jak śpieniony wał wody kryształem połyska.
Wzburzona pod swym fala ciężarem osiadła,
I krzywa łodź wilgotne zaryła zwierciadła.
Huczą opoki, Neptun szklanne góry leje,
Wstrząśniona wichrem topiel dąsa się szaleje;
Z łoskotem grzmiący bałwan na skały się zwala,
A złamana mu s szumem odegrzmiała fala.
Niedługo Sycylija w swej zadrzy posadzie,
Olbrzymie góry wbiegą na góry w nieładzie.
Lecz gdy modry Nereusz siedząc morskiém na dnie,
Spójrzy, wnet gniewne burze głuchym snem pokładnie,
I łodź po uciszonéj zwolna płynie wodzie.
Ileż podobnych dziwów pośledzisz w przyrodzie!
Tak gdy Wulkan na pola wysyła pożary.
Las zboża trawi ogień, s trzaskiem lecą żary:
Podobnie wrząca s-kotła w górę bije woda,
Gdy głównióm dopalonym łom się chróstu doda.

Ani lekko chropawe można nócić głazy.
Jeśli nam nieposępne malujesz obrazy,
Niech s pogodą na czole wiersze biegą żywe,
Niech wesołym brzmią dźwiękiem słowa nieleniwe;
Czy młode s przyjściem wiosny śmieją się zielenie,
Czy Wszechmocny Olympu rozjaśni sklepienie.
Lecz niech smutny wiersz chmurę na swe wciąga lice,
Wtenczas, gdy ptak złowrogi śród nocnéj ciemnice,

Siedząc na pustém zgliszczu, przez tumany mgliste
Szle głos grobowy, wiosła zwiesiwszy pierzyste.

Rzecz mała i średniością słów się zaspokoi,
Olbrzymóm dziwność służy, nadludzkość przystoi;
Twarz ogromna, pierś wzdęta silna ciał budowa,
Krzepkie członki, zarazem tęga żył osnowa,
Stąd jeśli cóś wielkiego twoja myśl wybierze,
Pracuj, i słowa stobą niech pracują szczerze,
Czy kiedy rolnik w znoju co mu siły staje,
Dwójzębcem pługa twarde bryły ziemi kraje:
Czy żeglarz trudem zlany skoro błyśnie zorze,
Urodziwy okrętu maszt zwraca na morze,
Lecz w zdarzonéj przygodzie śpieszyć się wypada!
Bo gdy nadybiesz żmiję co ci szkodzić rada,
Co żywo miéj się broni; — precz zwłoka precz trwoga,
Nieś ognie, ciskaj gromy, pędź na lasy wroga!
Jak chyżo noc w ocean nieźmierzony spływa,
Lub jak ciężko zalega ziemię wół rzezany:
Tak i wiersz leci szybko, nic go nie wstrzymywa.
Chceszli cichość malować? — spoczynek im dany.
Więc pracuj, by śród wiersza w swym wstrzymany biegu,
Spoczął, jak pociszona w morskim fala brzegu.
A gdy cichość nocnego masz opiewać mroku,
Staraj się, byś zawściągnął śród zaczęcia kroku.
Cóż gdy starzec, którego bliska wieczność goni,
S chłodném sercem niesilny grot wypuszcza z dłoni?
Niech z nim i wiersz podeszły nie igra jak młody,

Bo krew skrzepła niezdolna stare rozgrzać lody;
Słuszna jest, męskiéj broni imać się, młodzieży!
Wymiatać na wiatr domy, wdrzeć się na wierzch wieży
Piersią o pierś uderzać, a wrogów gromady
Gnać mieczem, kędy cienie Kocyt pławią blady.

Ten się mądrym mnie wieszczem bez chluby rozumie,
Kto się zniżać, a w wielkich rzeczach wznieść się umie.
Patrzaj! jak ten słów skąpy cichą stopą kroczy,
Przecież i myśl owładnie i zmysły uroczy.
Ten znowu hojny w słowa, po szerokiéj drodze
Leci w szranki swawolne popuściwszy wodze.
A gdy błogi dostatek do malowni bierze,
Słów morze po kreślonym rozlewa papierze,
Podobny śniegu, którym wielki Pan przyrody,
Odziewa chłodnych Karpat olbrzymie urody.

Lecz niekiedy rączego wierszóm zwolnij kroku!
By szły jak ciche wody w kryształowym stoku;
By nie górnie nie nisko pośrednio bieżały,
A tą się drogą wzbijesz do przybytku chwały.

ODA PINDARA.

DO AZOPICHA (*) Z ORCHOMENY.

Καφισιῶν ὑδάτων λαχοῖσαν.
Olym. XIV.

Charyty, Orchomenu (**) królujące ziemi,
I co władacie stare Miniaków rody;
Sławione himny śpiewnémi!
Wy, którym z losu wypadło
Odzierżeć bogate siadło,
Zrzódeł cefizyjskiéj wody,
Karmiące mnóstwa wiatronogich koni.
Słuchajcie mię! i wasze chluby lutnia dzwoni!
Bo od was wszelka słodycz śmiertelnym wypływa!
I wieszcz śpiewem słynny,
I dziéwka urodziwa,

(*) Azopich syn Kleodama młodzieniec z Orchomeny odniosł wieniec na igrzyskach Olympijskich, Olympiady (LXXVI). S téj okoliczności Poeta składając hołd Charytom jako bóstwóm opiekuńczym Orchomeny tę odę napisał.

(**) Orchomenos miasto Beocii leżące nad rzeką Cefizem.

I mąż dobroczynny,
Waszémi uszlachcon dary.
Wy pouczacie i same niebiany,
Jak zgodnie s chorem raźne wiązać tany,
Z biesiadniczéj pijać czary.

Bo mające trony swoje
Przy pityjskim w łuk zloty strojnym Apolinie,
Charyty leją słodkie uciech zdroje,
Wszystkich roskoszy w Olympie sprawczynie!
Przez nie i wieczna chwała Kroniona słynie.

Aglajo, Eufrozyno! możne Zeusa córy,
Ty Talijo lubiąca śpiéwające chóry!
Znijdźcie moim prozbom gwoli,
Kędy uroczysta pompa,
Dla złotéj powodzeń doli,
Lekką w tańcu nogą stąpa.
Wy pokrzepcie lot mój śmiały!
Niech lidyjskiéj lutni strony,
Lejąc s siebie dźwięk pieszczony,
Azopicha zabrzmią chwały.
Wszak przez was w olympijskim zwycięzca przegonie,
Miniak w laur wystroił tryumfalne skronie.

A więc Echo (*) bystrém piórem,
Zleć do domu Prozerpiny,

(*) Echo zwykle Pindar wzywa zamiast wieści.

Grodzonego czarnym murem,
Głośne ojcu wieszcząc czyny!
Niech i Kleodam wspomina,
Walecznego męstwo syna:
Że mu na pizańskiéj błoni,
Gdzie się łamie mężów siła,
Sława włos młodzieńczéj skroni
Chlubném pierzem uwieńczyła.

010484